



PRZEBIEG

Polska walcząca na Wschodzie

ROK III Nr 29 (68)

NIEDZIELA 25 LIPCA 1943 R.

CENA 20 FLS

Z ZASADAMI CZY BEZ ZASAD?

Rosyjska inteligencja XIX w. słynęła z radykalizmu społecznego i politycznego — w słowach i z jałowości — w czynach. Nie kończąc się dyskusje „o principjalny toczki zrienia” (z zasadniczego punktu widzenia) pochłaniały czas i energię. Ludzie w dzień lojalnie współpracujący z ustrojem ciemnoty i ucisku, wieczorami rzucali włos na troje przy omawianiu wzniosłych zasad współzycia ludzkości. Ze zaś „principium” to po łacinie „zasada” — przesadną zasadniczość usiłującą całą różnorodność życia zamknąć w sztywne formułki zasad nazwano „pryncypializmem”.

Pryncypializm jest nieznośny w życiu prywatnym jak i publicznym. Jego wyrazem może być niezamierzenie mieszkania w dzień świąteczny, jak i odmowa współpracy z państwem o odmiennym ustroju. Ten ostatni przykład ma dziś jednak charakter zabytkowy, pryncypializm bowiem w stosunkach między państwowych wydaje się doszczętnie wyciępiony.

Sklonność do pryncypializmu wykazują zwłaszcza Rosjanie i Niemcy, natomiast w społeczeństwach słowiańskich (prawdziwie słowiańskich), łacińskich, a przede wszystkim anglosaskich, odznaczających się, jak wiadomo, poczuciem umiaru i zdrowego sensu, wada ta ogranicza się do niegroźnych wypadków jednostkowego dziwactwa. To też zjawisku pryncypializmu nie warto nadawać większego znaczenia, niż na to zasługuje. A już zupełnie zgodzić się nie można z tymi, którzy wszelkie zachowywanie zasad ośmieszają jako pryncypializm. Wyrzekając się zasad dla uniknięcia pryncypializmu postępowalibyśmy jak ów niezwiedzi z bajki, który uśmiecił przyjaciele chcąc zabić muchę na jego czole.

Zasada — to jednako wy umysłowy sposób postępowania wobec określonych okoliczności. Skoro jednak ściśle ten sam układ okoliczności nigdy się nie powtarza, niektórzy sąd wnoszą, jakoby zachowywanie zasad musiało nadmiernie usztywniać nasze działania, zamieniać ludzi w automaty. Zapewne — przyznają — stosowanie zasad było potrzebne na niższych szczeblach rozwoju, dziś jeszcze może być pożyteczne dla małych, dla „szarego tłumu”. Oni, ludzie świadomi i dalecy od naiwności, potrafią się obchodzić bez zasad...

Rzeczywiście, nie trudno o przykłady, gdzie dzięki zmianie warunków sztywne zachowanie zasady traci sens. niewiele zasad ma charakter tak powszechny, że ich zachowanie jest jednakowo pożyteczne w każdym miejscu i czasie. Zasada niejadania szyniny, bardzo słuszną w gorętszych klimatach, uważana jest w klimacie chłodnym za zbyt niekorekcyjną. Elementarna zasada katechizmu „nie zabijaj!” nie obojętnie wiąże w wypadkach obrony ko-

niecnej, a byłaby wręcz szkodliwa w wojsku czasu wojny. To też zabicie nieprzyjaciela na wojnie nie jest grzechem, a wśród Świętych było wielu dzielnych wojowników. Zasada poszanowania zobowiązań, jedyna z naczelnych zasad współzycia jednostek i narodów, stosowana bez uwagi na wzajemność może prowadzić do oplakanych skutków, a znowu zasada wzajemności zastosowana rygorystycznie w prawodawstwie Starego Zakonu (oko za oko, ząb za ząb) już nie odpowiada naszemu poczuciu prawnemu. Zasada zemsty rodowej jest niezbędną obroną w braku innej, ale staje się przysłankiem i barbarzyństwem, gdy zamiast niej przysła opieką prawa.

Stąd wniosek, że stosowanie zasad nie powinno być ślepe. Należy, zwłaszcza przy zmianie warunków sprawdzić, czy zasada nie straciła wartości i czy posługiwanie się nią powinno zostać bez zmian. Należy pamiętać, że zasada nie jest nigdy samoistnym celem. Jest środkiem do celu, narzędziem. Trzeba umieć wybrać dla zamierzonego celu, w znanych warunkach, właściwe narzędzie i umieć się nim posługiwać. Inaczej — może przynieść szkodę. Podobnie szkoda może przynieść niewłaściwe użycie noża czy siekiery, ale ktoś chciałby z tego powodu potępić te cenne narzędzia?

Narzędzia stalowe poddajemy hartowaniu, by miały stosowaną do celu twardość i stosowny stopień giętkości. Widzieliśmy wyżej, że i w zakresie zasad nie jest pożądana nadmierna sztywność. O wiele groźniejszy jest wszakże nadmiar elastyczności. Zasada zbyt giętka przestaje być zasadą. Niekiedy odbiera jej wartość już jedno uchybienie. Ta prawda dotyczy nie tylko niewiastności, ale także np. dotrzymywania słowa. Tylko wtedy, gdy słusność odstąpienia od zasady jest oczywista, nie narusza ono zaufania do zasady.

Poniechanie zasad, przedstawiane jako reakcja przeciw pryncypializmowi i obłudzie, częściej jest objawem snobistycznego cynizmu. Dzięki niemu nawet ludzie po cichu i wstydliwie stosujący się do zasad głosno się popisują ich lekceważeniem. Ale w lwiej części wypadków źródłem zaniku zasad jest płynący z ludzkiej słabości i krótkowzroczności oportunizm. Oportunizm — to szukanie doraźnych korzyści kosztem celów odległych, choćby o wiele większych. Zachowanie zasad zwykle raczej służy celom odległym, niż daje bezpośrednie, natychmiastowe korzyści, dlatego oportunista dowolnie nagina zasady, albo je wręcz odrzuca.

Łatwo pojąć przy odrobinie wyobraźni, że świat pozbawiony zasad stałby się gorszym od dzungli, w której, jeśli mamy wierzyć Kiplingowi, poszanowanie zasad stoi dość wysoko. To też wezbrana fala oportunizmu wobec której znalazło się na-

szkie pokolenie stanowi dla ludzkości największe niebezpieczeństwo.

Najdalej zaszliśmy po śliskiej drodze oportunizmu w dziedzinie stosunków międzynarodowych.

Poszanowanie zasad w polityce zagranicznej jest z wielu przyczyn szczególnie trudne. W grę wchodzi doniosłe interesy, wobec których zachowanie zasad odmawia w ogóle być zwalczane jako pryncypializm. Brak skutecznych i łatwych do zastosowania sankcji utrudnia narzucenie zasad innym, a przestrzeganie zasad bez wzajemności jest często niepraktyczne. Złożoność stosunków międzynarodowych pozwala każde naruszenie zasady przedstawić jako niezamierzony. Stąd materialistyczna historyografia często odmawia w ogóle zaliczania zasad do czynników wywierających wpływ na rzeczywistość, stąd także popularny pogląd, jakoby istotą polityki musiało być oszustwo.

Pozostaje mimo to faktem, że w pewnych okresach dziejów poszanowanie, choćby niedoskonałe, niektórych zasad odgrywało rolę w rozwoju ludzkości. W szczególności umożliwiło zdobycze kulturalne i gospodarcze XIX wieku. Owczesna atmosfera względnego spokoju sprzyjała też rozwojowi ustrojów demokratycznych. Niestety — bez wzajemności. Rozproszenie bowiem historycznej odpowiedzialności towarzyszącej krótkotrwałości rządów parlamentarnych sprzyjać musiało oportunizmowi. Zabrakło zasad, zabrakło wielkich linii politycznych.

Lamanie prawa w czasie wojny 1914—18 r., od palenia Kalisza i napadu na neutralną Belgię po bezwzględność wojny podwodnej i użycie gazów trujących mniej wstrząsnęło istnieniem zasad niż bezkarność, która przyszła potem. Zaproszenie złoćwinców z honorami do grona szanowanych narodów, przywrócenie im wpływu na losy świata, powolność ich żądaniom, tolerancja sabotażu zobowiązań i pomoc w rozbudowie potęgi odwetowej — to triumfy oportunizmu, skutecznie anarchizujące stosunki międzynarodowe. Papierowe protesty przeciw zagarnięciu Mandzurii, melodramat abisyński, farsa Ligi Narodów, degeneracja handlu światowego, powodzenie seryjnych szantaży Hitlera — to dalsze etapy stacjana się po równi pochyłej zaniedbania zasad.

Wielki mąż stanu myśli o przyszłych pokoleniach, stwarza warunki rozwoju dla dzieci i wnuków, musi więc dbać o zasady. Oportunizm jest polityką małości. Jego rozpanoszenie się na Zachodzie od roku 1918 było możliwe dzięki brakowi w tym czasie u władzy jednostek o wielkim pokroju. Takie jednostki znalazły się za to w Niemczech i w Rosji. Jakkolwiek też te dwa mocarstwa były dalekie od dotrzymywania normalnych zasad współzycia narodów, jakkolwiek podsycały i wyzyskiwały oportunizm wiel-

kich demokracji,

ale same bynajmniej w oportunizmie na najkrótszą metę nie wpadły, konsekwentnie szły po drodze imperializmu, zachowały zasady budowy własnej potęgi wojskowej i tę potęgę istotnie uzyskały. Czy jednak w skali dziejowej pogwałcenie zasad ogólnych i pchnięcie świata w tragedię wojny nie okaże się złobnym oportunizmem — przyszłość pokaże.

Wielcy politycy, którzy znajdują się obecnie u steru rządów W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych, uznali restytucję zasad i ukaranie winnych ich naruszenia za podstawowe cele wojny. Napewno nie jest to droga najmniejszego oporu. Jak świadczy prasa obu krajów i debaty parlamentarne, istnieją poważne grupy, które bądź na tle zmęczenia wojną i chęci oszczędzenia ofiar, bądź zle pojętego humanitaryzmu, bądź przesłanek gospodarczych lub sztucznych koncepcji politycznych domagają się takiego lub innego oportunistycznego kompromisu. Czy miałyby one polegać na obrażeniu zasady zadocuczynienia, jak po wojnie poprzedniej, czy na tolerancji dla agresji, czy na nierówności traktowania słabych i silnych — skutki musiałyby być oplakane. Gra idzie o najwyższą stawkę, o przyszłość świata na lat dziesiątki jeśli nie setki.

Stanowisko Polski nie może ulegać wątpliwości. Zwalczamy oportunizm nie tylko dlatego, że może on prowadzić do kompromisów bezpośrednio zagrażających naszym interesom. Zwalczamy również oportunizm jako taki, jako źródło rozstroju w świecie. Nie chcemy żyć w świecie zanarchizowanym, a i nasze położenie geograficzne na to nam nie pozwala. Przywrócenie elementarnych zasad współzycia jest zadaniem niezmiernie trudnym, ale to zadanie warte jest wspólnego wysiłku.

Mamy niezaprzeczone prawo uważać się za pionierów tej walki. Od chwili odzyskania niepodległości marszałek Piłsudski pchnął politykę zagraniczną na tory unikania oportunizmu. Nie zawsze utrzymaliśmy się na tych torach. Były błędy i odchylenia. Pomimo wszystko jednak nie podobna zaprzeczyć, że ze wszystkich działań polityki polskiej polityka zagraniczna miała najbardziej skryształizowane zasady, których broniła przezwyciężając konsekwentnie, narażając się wielokrotnie na zarzuty uporu i braku elastyczności (pakt czterech, pakt wschodni). Zasadę poszanowania zawartych umów traktowaliśmy w ciągu blisko 20 lat sojuszu z Francją, jak dziś już wiadomo, bardziej serio niż ci, którzy nas posadzali o nielojalność. Zasady „Jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie”, „Nic o nas bez nas”, „Nie łączymy się z żadnym z potężnych sąsiadów przeciw drugiemu” — to nie były

(Dalszy ciąg na str. 2)

O GENERALE SOSNKOWSKIM

(Dokończenie wywiadu z płk dypl. K. W.)

— Proszę pana pułkownika o podanie nam nieco wiadomości o działalności gen. Sosnkowskiego na stanowisku dowódcy frontu południowego.

— Wypadki toczyły się w tempie błyskawicznym. Dzień 11 i 12 września spędza gen. Sosnkowski we Lwowie. Organizuje najniebezpieczniejszy zespół sztabu, a przede wszystkim, natychmiast po otrzymaniu nominacji, a więc rano 11 gen. Sosnkowski wydaje zarządzenia mające na celu organizację obrony Lwowa, gdyż wróg był tuż, tuż...

Obronę przygotowano na przedpolu na rzecze Wereszycy oraz na terenie samego miasta. Najajutrz, tj. 12 września obrona już funkcjonowała zatrzymując i odparając atak niemieckich kolumn pancernych, które przez ulicę Gródecką chuciły się wdrzeć do miasta. W tym dniu sytuacja na odcinku Lwowa kształtowała się następująco: od strony płn-zach. zagrażał miastu mieszany korpus pancerny (Gemischtes Panzerkorps), który podszedł pod Lwów idąc przez Radymno — Jaworów, zaś od strony płd-zach. austriacka dywizja górską, idąca od Sambora. W ten sposób armia „Karpaty”, znajdująca się w odległości około 150 km. na zachód od Lwowa, była odcięta.

— Jakie większe zgrupowania wojskowe poza armią „Karpaty” wchodziły w skład frontu południowego w chwili objęcia dowództwa przez gen. Sosnkowskiego?

— Podlegała mu jeszcze armia „Kraaków” z grupą gen. Boruty-Spiechowicza, w składzie 6 i 21 dyw. piech. i brygada płk Maczka, bardzo wówczas słaba, która począwszy od 12 września zaczęła narastać. Poza tym oczywiście załoga lwowska. Przed swym odlotem do otoczonej armii „Karpaty” opracował gen. Sosnkowski plan bitwy o Lwów. Podstawą miał być broniący się Lwów, którego skrzydła, zwłaszcza północne, miała przedłużać i umocnić armia „Karpaty”. Od północy miała dociągnąć na Jaworów i lasy janowskie armia „Kraaków”, by uderzyć na płn. skrzydło przeciwnika zaan-

gażowanego pod Lwovem. Najtrudniejszym było zadanie armii „Karpaty”, odciętej, jak już mówiłem, od Lwowa przez silne oddziały nieprzyjaciela.

W dniu 13 września gen. Sosnkowski oraz 3 oficerów jego ścisłego sztabu opuściło Lwów czterema małymi turystycznymi samolotami udając się na zachód, na poszukiwanie oddziałów armii „Karpaty”. Wyłądowaliśmy w Hureczku pod Przemysłem i wkrótce potem spotkaliśmy w Krasieczynie sztab grupy gen. Łukowskiego, wchodzącej w skład armii „Karpaty”. Tu gen. Sosnkowski po przejęciu dowództwa przystąpił natychmiast do realizacji swego planu, którym było doprowadzenie wojsk do Lwowa.

— Jakimi siłami dysponował wówczas gen. Sosnkowski?

— W skład grupy, uad której objął dowództwo, wchodziły: 11 dyw. piech. pod dowództwem płk Prugar-Ketlinga (w 1940 r. jako gen. bryg. dowodził we Francji 2 dywizją strzelców, obecnie internowany w Szwajcarii), resztki rozbitej nad Dunajcem 24 dyw. piech. (dca płk Szwarberg-Czerny) i 36 dyw. KOPu, którą dowodził płk Wir-Konas. (Obaj jak i gen. Łukowski zaginęli w Rosji)

— Jaki był przebieg walk, które prowadził gen. Sosnkowski?

— Walki te trwały niemal bez przerwy od 13 do 21 września. Objęcie dowództwa przez gen. Sosnkowskiego wpłynęło niezmiernie dodatnio na morale wojska. Generał był zawsze wśród żołnierzy, w czasie boju niejednokrotnie przebywał w pierwszej linii. Żołnierz wyczuł, że to jest dowódca, który go w chwili krytycznej nie zawiedzie. W źle odżywiane, zmęczone i zdeprymowane dwoma tygodniami nieszczęśliwych walk wojsko wstąpił nowy duch. Żołnierz chciał się bić, bił się i... zwyciężał.

Dokładnego przebiegu walk nie będę opisywał, trwałoby to za długo. Bił się o Przemysł, stoczyliśmy bitwy pod Birczą, pod Krasiecznem, walczyliśmy o Babice i Sądawę Wisznię, lasy janowskie, Brauchowice...

— Czy pan pułkownik był wówczas razem z dzisiejszym Wodzem Naczelnym?

— Cały czas. Byłem szefem operacyjnym jego sztabu.

— Ostatni wynik bojów nie mógł być wtedy oczywiście podlegać wątpliwości, ale mówił pan pułkownik o zwycięstwach...

— Największym sukcesem gen. Sosnkowskiego było zwycięstwo nad lekką dywizją SS, która w całości została rozbita na północ od Sądowej Wiszni w nocy z 15 na 16 września.

Pamiętam, po tej bitwie wjechał do Świeca z Generalem do wioski Czarnelińce. Wieś była dostojnie zawałona nowiutkim, wspaniałym sprzętem porzuconym przez Niemców. Było tam 12 zmotyrowanych dział połowych, bateria dział plot, działka ppanc, wozy pancerne, setki samochodów...

— No cóż. Nie było co z tym robić. Nie mieliśmy wyszkolonych ludzi, którzyby ten sprzęt zmotyrowany, te setki maszyn mogli obsługiwać. Trzeba było niszczyć. Ponieważ w tej chwili był we wsi tylko Generał ze sztabem, więc pod jego kierownictwem zaczęliśmy palić i niszczyć tę cenną zdobycz. W tym momencie jedna z kompanii 36 dywizji KOPu przeleciała huraganem przez wieś ścigając Niemców. Dojrzałszy gen. Sosnkowskiego, stojącego wśród palącego się zdobycznego sprzętu, żołnierze urządzili mu spontaniczną owację.

— Wieś oczywiście też poszła z dymem przy tym całopaleniu?

— Tylko częściowo. Ale niech się pan pocieszy, mieszkali tam koloniści niemieccy, którzy przedtem w tragiczną dla nich noc serdecznie gościli „swoich rodaków i wybawców”.

— Może pan pułkownik poda nam jeszcze jakieś szczegóły o innych bojach?

— Najchlubniejszą kartą w tej kampanii był bój w lasach janowskich, gdzie oddziały gen. Sosnkowskiego, odpowiadające już wówczas liczebnością najwyższemu pułkowi piechoty, przeciwstawiły się na froncie długości 25 km natarciu trzech dywizji niemieckich. Pomimo tej przewagi i dużych ofiar, które Niemcy ponieśli, nie posunęli się oni przez cały dzień ani o krok naprzód. W komunikacje wojennym mówili potem Niemcy o walkach, jakie stoczyli na tym miejscu rzekomo z trzema dywizjami polskimi.

— Jakie było wyposażenie wojsk gen. Sosnkowskiego w lotnictwo, broń pancerną, artylerię plot i ppanc?

— Lotnictwa bojowego nie mieliśmy wcale, jak również broni pancernej i artylerii przeciwlotniczej. Natomiast posiadaliśmy nie dużą ilość działek ppanc. Do zwalczania czołgów gen. Sosnkowski nakazał używać działa polowe 75 mm.

Mówiłem wyżej o boju w lasach janowskich. Miał on otworzyć gen. Sosnkowskiemu drogę z Janowa przez Rzesnę Ruską w kierunku na Lwów, w celu uderzenia od tyłu na wojska oblegające miasto.

Tymczasem po zdobyciu Rzesny gen. Sosnkowski otrzymał w dniu 18 września zrzucenie przez lotnika rozkaz Nacz. Wodza marsz. Smigłego Rydza zawiadamiający, że wojska sowieckie wkroczyły do Polski dnia 17 września i że wobec tego wszystkie oddziały polskie mają na własną rękę przebić się do granicy węgierskiej albo rumuńskiej.

Wobec tej zmiany warunków, gen. Sosnkowski postanowił się przeczucić w lasy brzuchowickie, skąd miał nadzieję nawiązać kontakt z załogą lwowską, liczną i dobrze uzbrojoną, aby razem się przebić do Węgier czy Rumunii.

19 i 20 września gen. Sosnkowski stoczył ostatnią swą bitwę w kampanii wrześniowej — był nią bój pod Brzuchowicami. Była to jedna z najkrwawszych walk. Straty nasze wyniosły około tysiąca żołnierzy, a więc 1/3 całości wojsk gen. Sosnkowskiego. Sam generał przebywał cały czas w ogniu i to w pierwszej linii. Przykład dowódcy działał na podwładnych. Zarówno oficerowie jak szeregowi dawali dowody nadzwyczajnego męstwa.

W ten sposób walcząc doszliśmy na odległość 5 km od rogatki lwowskich.

Niestety, dalej przedrzeć się nie było można. Zostaliśmy bowiem w tym czasie zupełnie otoczeni, a nieprzyjaciel znalazł się na naszych tyłach, na stanowiskach naszej artylerii. Brakło też amunicji.

W tym położeniu gen. Sosnkowski postanowił rozdzielić swą grupę na małe oddziały licząc, że w ten sposób łatwiej będzie dostać się do granicy. Przedtem oczywiście zniszczonego sprzętu, którego nie można było zabrać.

Radziłem Generałowi, by ruszył w drogę konno z kawalerią, która w sile ok. 2 szwadronów miała moim zdaniem największe szanse na przebiecie się. Generał jednak odmówił. Powiedział, że będzie dzielił losy piechoty, gdyż jej najtrudniej będzie dojść do granicy.

Rozpoczęliśmy marsz w nocy z 20 na 21 września. Całą noc padał silny deszcz, który ostabiał czujność wroga, ale zato bardzo się dawał we znaki i tak już utrudzonemu żołnierzowi. Gen. Sosnkowski szedł w pierwszej grupie liczącej ok. 300—400 ludzi.

O świcie 21. IX. dotarliśmy do Dublan. Tam w chłopskiej chałupie odbył gen. Sosnkowski o godz. 4 rano ostatnią odprawę. Generał zdecydował, że na dzień zapadnięmy w lasy i dopiero onca znów podejmiemy marsz. Tymczasem na skutek wydane przez kogoś fałszywego rozkazu nasza grupa wyruszyła w kierunku na Lwów. Gen. Sosnkowski, powiadomiony o tym, polecił płk Demelowi i mnie odnaleźć grupę a w razie marszu zatrzymać. Kiedy po 2 km udało mi się dopędzić maszerujący oddział, nadjechała brygada kawalerii sowieckiej. Momentalnie zostaliśmy otoczeni i wobec wielkiej przewagi i bezradności walki musieliśmy złożyć broń. W ten sposób rozstałem się z gen. Sosnkowskim.

— Jakie były dalsze losy generała?

— Znam je sam już tylko z opowiadania. Po drugim i pełnym przegrodzie marszu zdołał gen. Sosnkowski z dwoma lub trzema towarzyszanymi, w chłopskim przebraniu, przedostać się 4 października 1939 r. przez Karpaty na Węgry. Stamtąd wyjechał do Francji gdzie został wyznaczony przez Prezydenta Rzeczypospolitej jako jego następcą na stanowisku głowy państwa. Ponadto był gen. Sosnkowski członkiem rządu polskiego we Francji, a potem w wielkiej Brytanii, z którego to stanowiska ustąpił w lipcu 1941 r.

zb. r.

Z ZASADAMI CZY BEZ ZASAD?

(Dokończenie ze str. 1)

czcze frazesy, ale istotne wytyczne, którym się nie sprzeniewierzyliśmy. Postawa Czech i postawa Polski wobec zasady nienaruszalności granic — to jaskrawy przykład oportunizmu z jednej i pełnego pokrycia dla zasady — z drugiej strony. Po dobitnej ilustracji różnego pojmowania zasady honoru i wypełnienia obowiązku żołnierskiego dała postawa naszego i francuskiego żołnierza w tragicznym czerwcu 1940 r., a przecież to było na ich ziemi... Żaden wreszcie naród w okupowanej Europie nie zajął wobec okupanta postawy tak pozabawionej wszelkiego cienia oportunizmu jak naród polski. To wszystko stanowi kapitał, którego nie wolno zmarnować.

Nie robimy „pierwszej naiwnej”, ale też nie damy się wciągnąć w grę międzynarodowego cynizmu. Szanujemy własne zobowiązania i chcemy szanować zobowiązania cudze. Na ich lekceważenie nie możemy się zgodzić nie przez upór, nie przez doktrynerstwo, nie przez pryncypia-

lizm, nie przez zamiatowanie do formalistycznego czepiania się słów, ale dlatego, że taka zgoda byłaby dla nas samobójstwem. To musimy tłumaczyć także tym spośród naszych przyjaciół, którzy niekiedy dziwią się naszej rzekomo zbędnej nieustępliwości, naszemu brakowi oportunizmu. Rozumiemy, że to może być czasem kłopotliwe, doprawdy, bardzo nam przykro... Ceniemy grzesność, ale wersalskich manier nie możemy ani zamierzamy posuwać aż do akceptowania wersalskiego oportunizmu w polityce. Podobnie jak ów niegrzeczny Murzyn, który odmówił poderżnięcia sobie gardła, choć go o to prosiła piękna pani. Tego wciąż udaje, że nie rozumie Hitler w odniesieniu do naszej postawy w 1939 r., tego dotąd nie zrozumieli niektórzy publicyści zaprzyjaźnionych z nami krajów. A przecież walka z oportunizmem jest interesem wspólnym.

Michał Ciołek

POWRÓT DO ZDROWIA DOWÓDCY A. P. W.



Dowódca APW gen. Anders prze-
był ostatnio długotrwałą, ciężką ma-
larię. Obecnie stan zdrowia Generała
znaczenie się już polepszył i znajduje
się on w okresie rekonwalescencji.
Gen. Anders zachorował w Kairze.
dokąd się udał, aby przeprowadzić
ostatnie rozmowy z powracającym
do Wielkiej Brytanii Wodzem Na-
czelnym ś. p. gen. Sikorskim.
W dniu odlotu ś. p. gen. Sikor-

skiego z Kairu stan zdrowia gen.
Adersa był tak ciężki, że nie mógł
on nawet przybyć na lotnisko, by
pożegnać Naczelnego Wodza.

Gen. Sikorski powiadomiony na
lotnisku o chorobie Dowódcy APW
skreślił doń kilka serdecznych słów,
których odbitkę podajemy poniżej.

Był to ostatni list w życiu napisany
przez zmarłego Wodza Naezel-
nego.

Gen. Anders
Gen. Sikorski
Gen. Anders
Gen. Sikorski
Gen. Anders
Gen. Sikorski
Gen. Anders
Gen. Sikorski
Gen. Anders
Gen. Sikorski

Gen. dyw. Anders, Dca Armii
Życzę Panu Generalowi szybkiego powrotu do pełni sił i jak naj-
skuteczniejszej dla Polskiej Armii pracy.

Sikorski gen. broni

Słów kilka o Fredrze

Z pewnością doczekamy się książ-
ki „O życiu romantycznym Aleksan-
dra hr. Fredry”. Tego Fredry, którego
opinia przywykła kojarzyć z Gusta-
wem, Radostem, Klarą i Albinem ze
„Słubów panieńskich”, z Cześnikiem,
Dyndalskim i Papkinem z „Zemsty”,
z „Panem Jowialskim”, z „Damami
i huzarami” i z tyloma innymi po-
staciami będącymi uosobieniem po-
gody, humoru, jowialności.

Fredro romantyczny — brzmi to
nieoczekiwanie, a przecież określenie
takie jest całkiem usprawiedliwione.

Przyszły, nieznan autor „Życia
romantycznego br. Aleksandra” la-
two ten romantyzm odnajdzie, za-
równo w życiu osobistym swego bo-
hatera jak i w jego dziełach.

Nic dziwnego. Żyje i tworzy Fre-
dro w okresie, gdy romantyzm jest
nie tylko potężnym prądem literac-
kim, ale jest w modzie, jest uznany
i wielbiony przez szerokie sfery
„towarzystwie”.

Pisze więc Fredro ballady pełne
okropnych morderstw, zdrad i zem-
sty jak „Hedwigę”, „Złamanie wia-
ry”, „Mogilę na rozdrożu”, dramat
historyczny „Obrońca Olsztyna”, po-
wieść pełną grozy i czarów „Kamień
na Liskiem”.

No, bo to i okres prywatnego ży-
cia Fredry jest bardzo romansowy.
Pan Aleksander kocha się i doznaje
przeciwstaw losu. Kocha się w mę-
żatce, przystojnej pani Zofii, z domu
Jabłonowskiej, małżonce hr. Skarbka.

Miłość do mężatki na ówczesne
czasy, alez to był skandal nad skan-
dale! Temat dla niezliczonych plotek
i złośliwości ówczesnego towarzy-
stwa „galicyjskiego”.

Ale Fredro „po huzarsku” pokony-
wuje opór i cnotę małżeńską uko-
chanej, zdobywa szturmem jej wza-
jemność, przeprowadza rozwód i ze-
ni się z najdroższą.

Łatwo to opowiedzieć, ale proszę
sobie wyobrazić, że to trwało kilka
długich lat, zanim zwyciężyła miłość
pana Aleksandra i pani Zofii. Ileż
to przez ten czas trzeba było cier-
pieć, przewyciezać, zabiegać... nie
dziwnego, że w pewnym momencie
myślał Fredro o samobójstwie.

Nie oznacza to bynajmniej, że
Fredro odyśkał humor dopiero po
połączeniu się z przedmiotem swego
uwielbienia.

Żywe poczucie humoru, komizmu
niejednej sytuacji w którą wpadał,
humor dzięki któremu Fredro po-
trafił znieść wszelkie przeciwności
„okrutnego” losu, ten humor sprawi-
ł, że między jedną „okropną” hi-
storią a drugą, krapnął sobie coś
od serca, od uśmiechu, którego był
pełen młody Fredro.

Już w 1817 r. pisze wesołą jedno-
aktówkę „Intryga na przedce”, a za-
chęcony powodzeniem przerabia ją
na znaną trzyaktową komedię „No-
wy Don-Kiszot”. W roku 1819 po-
wstaje „Pan Geldhab”, a w r. 1822

teatr lwowski gra jedno z arcydzieł
Fredry „Mąż i żona”.

Od czasu poślubienia pani Zofii
(w r. 1828) przeżywa Fredro kilka
lat szczęśliwych. Już przedtem otrzy-
mał tytuł hrabiowski, ma powodze-
nie literackie, bierze czynny udział
w życiu towarzyskim i społecznym,
aż zjawia się niejaki pan Goszczyń-
ski. O tym panu przyszył biograf
Fredry musi napisać dużo i to dużo
złego. W r. 1835 ogłosił Goszczyński
rozprawę pt. „Nowa epoka poezji
polskiej”.

Całą zółć człowieka zawiedzione-
go w swych ambicjach wylewa
Goszczyński na Fredrę.

Zarzucał mu Goszczyński ni mniej
ni więcej jak niemoralność i niedo-
rzeczność pomysłów i „pseudo-kla-
sycyzm” i, o zgrozo — nienarodo-
wość.

Dookoła triumfowano. Ponoślił
wilk razy kilka, ponieśli i wilka.
Ten, co szczył i pił z „cnot” oby-
watelskich, ze „zwyczajów i trady-
cji” dworów i dworków, nareszcie
dostał tęga odprawę. Co prawda
i innym przy okazji się dostało,
w tym i Mickiewiczowi, ale to by-
najmniej Fredry nie pocieszyło.

Jakto? Jego dzieła mają być „nie-
narodowymi”? Jego, który mając 16
lat do wojska wstąpił, całą kampanię
napoleońską przeżył, był ranny,
uciekł z niewoli, pracował na polu
społecznym, wykpiwał śmieszne stro-
ny i „bólczki” ówczesnego życia
wiedząc, że śmiech to lekarstwo
i niebylejake lekarstwo, jego odsą-
dził od poczucia narodowości?...

Dodajmy do tego płacze ukocha-
nej żony z powodu zarzutów niemo-
ralności małżonka, a zrozumimy
czemu zagniewany i rozżalony Fre-
dro przestaje pisać i już do końca
życia nikt nie widział żadnego jego
utworu.

Bo... ściślej biorąc, pisać nie prze-
stał. To wchodzi w krew, jest sil-
niejsze od gniewu, od chęci lub nie-
chęci, pisać lub nie jest kwestią tem-
peramentu literackiego, a tego Fre-
drze nie brakowało.

Pisał po cichu i chował po sznfla-
dach, a podobno przed śmiercią
chciał wszystkie rękopisy spalić.

Depiero w zbiorowym, pośmiert-
nym wydaniu z r. 1880 ukazuje się
18 nowych, nieznanych dotąd dzieł
Fredry.

Niestety, brak już tym utworom
serdecznego humoru. Humor Fredry
zgorzkniał, komedie stały się kome-
diami serio, a nieraz dramatami
z szczęśliwym zakończeniem.

Na 18 utworów tylko „Pan Be-
nel” i „Swieczka zgasała” są na po-
ziomie najlepszych jego dzieł —
reszta należy do historii literatury.

Prowincjonalizm krytyki współ-
czesnej pozbawił teatr i literaturę
polską niejednego arcydzieła kome-
diowego, właśnie tę literaturę, w któ-
rej humor jest rzeczą rzadką i cenną.

W. R.

SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

TERAZ PRACA NA ŚMIERĆ. WSZYSTKO OD SAMEGO
POCZĄTKU ZACZNIESZ I UDZWIGNIESZ CIĘŻAR DZIE-
SIĘCIOKROTNY: ILE KRWI, MERI, TRUDU, SŁAWY WSIĄK-
NIE W OBCE POLA — KTÓŻ TO ODGADNIE. ALE ZOSTA-
NIE RESZTA. ZE WSZYSTKICH ROZSTAJNYCH DRÓG
JEDNA JAKAŚ BĘDZIE PROWADZIŁA! ŻYŁY BĘDĄ PEKAĆ
I KREW Z ZA PAZURÓW, TRYŚNIE, ALE TO DARMO. IŚĆ
TRZEBA WIEKUISTYM POCHODEM. TRZA W KARACH
ODROBIĆ WSZYSTKO I W MEKACH WYCZYNIĆ WIEL-
KIEGO DUCHA.

STEFAN ZEROMSKI („POPIOŁY”)



(fragment z poematu)

...Szelestem białych kartek przeszła książka Prousta
I tylko słowo matka zostało na ustach,
Jak pieczęć pożegnalna na smutnej kopercie,
Która w świat gdzieś odchodząc — zabiera ci serce.
Aż wreszcie i to słowo zgasto, spoieliśmy...
I wtedy — może zresztą tak mi się zdawało —
Ze ktoś znajomym szeptem powiedział me imię,
Ze jakaś struna — płacząc — pękła gdzieś w pianinie...
Nikogo. Tylko cisza nad cieni flakonem
Pachnie mi, ach jak pachnie dzieciństwem i domem!
I teraz można piórem po wspomnieniach tych drodze
Pójść w tamten świat miniony... Zegnajcie. Odchodzę.

Więc jestem znów na strychu mej wczesnej młodości...
Przez szpary na otwarty parasol ciemności
Sypie słońce tężowe, złote, ciepłe deszcze,
A przez serce błękitne wykrojone w desce
Zagłada dzień oparty na niebu poręczu,
I na lipie, tuż obok, nutą pszczelą brzęczy.
Gdy podejdziesz i spojrzysz — to zbiegnie ze wzgórza.
Wśród łąk rozdzwoni kosa, w srebrze się unurza,
Rozpali ci, rozdmucha jasny płomień maków,
Przeleci przez okólnik tętentem żrebaków,
Rozszumi, rozkołysze się potem na sosnach
I będzie wolał z dali, że wokół jest wiosna...
Bo wiosna jest naprawdę, tylko tu, na strychu
Jest smutnie. Jakaś mucha sennie i po cichu
Zabręczy, ciężkim lotem ciszę krótko muśnie
I zabłąka się w mroku i na nowo usnie...

Więc na ciemnym tym strychu, zaraz za kominem,
Jest jeden kąt pachnący sadzami i dymem,
Wciśnięty pod pochyłość gontowego dachu —
Jest w dzień kryjówka moja, a wieczorem — strachów...
Tu, gdzie czas się rozsywał przed srebrnym pyłem
I w hamakach pajęczyn szarawieczorne chwile
Drzemały zaplątane wśród jedwabnej przędzy —
Sprawialem swe misteria, czary i obrzędy...



Tu byłem kapitanem korsarskiej fregaty
I pod flagą piracką, wsparty o armaty,
Na sznurach rozwieszając żagle z prześcieradła
Goniłem poprzez morza powiewne wiatrąda
Przywołując skrzynie skarbów z wyspy Stevensona...
Tu byłem też obrońcą Reduty Ordona,
Lub wyśnionym, zwyciężskim francuskim cesarzem —
I stojąc z szablą w rękę pod dachem, przy szparze,
Rzucałem wciąż do bitwy na okopy kretów
Waleczne pułki żyta — srebrne od bagnarów,
Lub maki — gdy skinęłam — jakby szwależery
Płynęły szarżąc śmiercią przez międz Samosierry!
A na różach płonących purpurą przy ganku
Kwitnęła „Jeszcze Polska” razem z Marsylianką...

O zmierzchu, gdy odchodził na Wołę Sowiński,
Przy blasku świecy, w czerni wchodził Lukasiński,
I obaj w czarnych maskach, w opończach ciemności
Pisaliśmy na skrzyni Odewę Wolności,
By znów poderwać naród na śmierć, albo chwałę!

Wśród ciszy biło serce, serce oszalałe...

A tylko wystarczyło zbiec na dół po schodach,
By znów roześmiała się wiosna, pogoda
I niebo, poplamione przez senne obłoki,
By wciągnąć w piersi oddech — jak ziemia — szeroki...
Na sosnach jeszcze drżały postępcze luny,
A na polach stygnących wieczór stroił struny
I szeptem kończył w zbożach prolog złotych wierszy,
By nagle, nagle musnąć ksylofony świerszczy!

Gdy ogród się rozpachniał, zachłysnął maciejką,
Tak dobrze było z matką iść wąską alejką,
Gdy rózę gasły wolno, smutnie na gazonie —
Iść w ten ogród... w ten wieczór... w te cisze... w te wonie...

A niebem — gdzieś przy smukłym, srebrnym świerka szczycie —
Płynęły pierwsze gwiazdy jak lata, jak życie...

I nagle — głuchy turkot jadących furmanek
Potargał, zerwał myśli — Boże, to już ranek!
Już nad głową, pod dachem, przez wąskie szczyliny
Kapie świt, błękit nieba i słońca bursztyny,
Już mrok odrzuca z czoła białą ręką włosy,
I w dole już się budzą jakieś kroki, głosy,
I droga moich wspomnień, jak droga gwiazdzista,
Ginie w niebie Przeszłości coraz mglistsza, mglistsza,
Tylko Wóz Wielki, którym wracałem w te lata
Złamanym sterczy dyszlem nad pożarem świata...

Janusz Wedow

POLACY w Afganistanie

Pomiędzy Indie, Iran i południową Rosję wciśnięty jest kraj z kształtu przypominający retortę alchemika, o wąskiej szyjce skierowanej na wschód. Ten kraj to Afganistan. Dziwi cię na pewno, Czytelniku, że państwo to, leżące wysoko w górach, zwanych Hindukusz, ma właśnie taki kształt, a już napewno zwróci twą uwagę ta długa, wąska szyjka, wciśkająca się pomiędzy Indie i Rosję. To przewidująca polityka Wielkiej Brytanii postarała się choćby tym paskiem oddzielić Indie od Rosji. Rosjarska, a tym bardziej sowiecka, starała się poprzez Afganistan wpływać na stan rzeczy w Indiach. Dało to podstawę do kilku targów wojennych pomiędzy Indiami a Afganistanem, politycy bowiem Wielkiej Brytanii nie chcieli dopuścić do tego, aby Rosja wywierała wpływ na Indie, czy to bezpośredni czy też przez Afganistan. Ten zatem biedny, prawie bezludny, wysoko w górach położony kraj posiada ważne znaczenie dla polityki pokojowej w Azji południowej.

Obawiam się, Czytelniku, że o kraju tym wiesz nie dużo. Może jedynie pamiętasz, że gdzieś przed kilkunastu laty władca Afganistanu Amanullah odwiedził Europę i był w Warszawie, ale pewnie nie wiesz, że władca ten po powrocie do domu począł wprowadzać w Afganistanie reformy na wzór europejski. To spowodowało jego detronizację, bunt Bacza-i-Sakkao, następnym wstąpieniem na tron popieranego przez Wielką Brytanię — Nadir Szaha. Skoro Nadir Szah w r. 1933 został zabity, syn jego Mohamed Sahir wstąpił na tron i przy pomocy swych dwóch stryjów Mohameda Raszima Chana i Szaha Mahomeda Chana panuje do dziś w Kabulu, stolicy tego państwa.

Afganistan liczy 11.000.000 mieszkańców. Kolonia polska jest tam bardzo nieliczna. W całym kraju mie-

szka zaledwie 20 rodzin polskich, których życie nie należy do łatwych. Afganistan jest krajem dość jeszcze zacofanym. Mullahowie tj. księża mohametańscy cieszą się — mimo reform Amanullaha i Nadir-Szaha — wielkim poważaniem i posiadają wielkie znaczenie w polityce, zwłaszcza wewnętrznej. Starają się oni utrzymać kraj w ciemności i nie dopuszczają cywilizacji z zachodu. Nie masz, Czytelniku, wyobrażenia, z jakimi trudnościami muszą walczyć naukowcy polscy bawiący w Kabulu, aby zezwolono im na wydanie rozprawy naukowej. Tysiące interwencji, próśb, przyrzeczeń, a w końcu — odmowa. Ci jednak, którzy mogą pracować w samym Kabulu, mogą być uważani za szczęśliwców. O wiele gorzej jest tym, którzy pracują przy budowie dróg poza miastami, w lepiankach, wśród dość jeszcze dzikiej ludności afganckiej. Jednak Polacy trzymają się dobrze. Są to przeważnie inżynierowie — budowniczcy dróg lądowych i wodnych oraz naukowcy. Dla takich ludzi Afganistan stoi otworem. Odczuwa się tam bowiem potrzebę inżynierów drogowych, wodnych, budowniczych, geologów, mineralogów, techników, chemików, fizyków, botaników. Polscy fachowcy są bez większych trudności zatrudniani przez rząd afgański, który podpisuje z kandydatami kilkuletnie umowy. Choć praca jest tam ciężka, warunki życia nie łatwe, wzajemian place są wysokie, tak że po 3 latach pracy można uciąć pokazy fundusik.

W Afganistanie czynne są też kamieniołomy, fabryka butów, cukrownia, do których potrzebni są fachowcy. Pożądani są również chemicy.

Utworzony w Afganistanie tzw. „uniwersytet”, przypominający raczej poziomem studiów i studentów naszą szkołę średnią, a zwłaszcza nowo otwarty wydział medyczny od-

(Ciąg dalszy na str. 5)

OD REWOLUCJI DO TYRANII

Kilka słów o nihilistach, głuszcach i mułach

PROFILAKTYKA Któż bardziej pragnie zniszczenia Hitlera, a wola pokonania Niemiec staje się tam coraz powszechniejsza. Ale na tym wyczerpują się dla Anglików cele tej wojny. Anglicy są z natury optymistyczni; nie znaczy to, że mają słaby charakter, ale wrodzony optymizm nie pozwala im przejmować się niebezpieczeństwami, zanim nie grożą im bezpośrednio. Potem potrafią im stawić czoła.

Anglicy rozumieją komunizm jako reakcję głodnych mas i dla tego mówią się dziś w Anglii o „potrzebie głębokich przemian społecznych”. Przemiany te zresztą pomyślane są bardziej jako zmiany szerokie, niż głębokie. Wyrazem świadomości, że trzeba zapobiegać powojennej radykalizacji mas, jest plan Beveridge'a, który przewiduje powszechne ubezpieczenia społeczne od niedostatku i chorób, a także na wypadek bezrobocia i starości. Jeżeli masy angielskie nie będą cierpieły niedostatku — tak rozumuje się dziś w Anglii — niebezpieczeństwo przewrotu komunistycznego będzie zagrożone. A za najlepszy sposób walki z niedostatkiem uważa się w Anglii nowy typ powszechnego podatku, który umożliwi wypłacanie zapomóg wszystkim cierpiącym od chorób i niedostatku oraz niezgodnym do zarobkowania na skutek starości.

MOTYWY W Anglii mało kto rozumie, że komunizm nie jest wcale konsekwencją fizycznego niedosytu mas, ale objawem niezaspokojenia zupełnie innych apetytów — żądy władzy i pragnienia zemsty. Masy nigdy nie wymyśliłyby komunizmu — są na to w swej większości o wiele za szlachetne. Najlepszym dowodem jest fakt, że komunistyczny agitatorzy tylko wobec szumowin miejskich używają argumentów zemsty i zawiści — wszędzie indziej muszą swoje zamiary upiększać i dawać im szlachetne imiona — muszą mówić o sprawiedliwości, braterstwie wszystkich ludzi etc. Jak te piękne ideały wyglądają później w praktyce, wiemy już dziś z doświadczenia.

Z wyjątkiem cienkiej warstwy wykołobionych, z którymi komuniści odczuwają coś w rodzaju naturalnego pokrewieństwa, prawdziwego „braterstwa dusz” i z którymi rozumieją się nawet bez słowa — masy przez komunistów nadużywane. Apetując do szlachetnych instynktów mas — komuniści uwodzą je i czynią z nich powolne narzędzie w swoim ręku. Wiedzą dobrze, że większość ludzi ma pozytywną postawę wobec życia i ładu społecznego i że — jeżeli się ich chce zdobyć — trzeba im wskazywać cele szlachetne. Co prawda, wiedzą oni także, jak naiwne i niedoświadczone są te masy, jak nie orientują się w tym, co się da przeprowadzić, a co jest tylko majaczeniem rozgorączkowanej wyobraźni. To też nigdy jeszcze nie kłamano tak bezczelnie, jak w komunistycznej literaturze agitacyjnej. Żadna religia nie obiecuje na tym świecie takiego raj, jaki komuniści obiecują na tym.

SYRENIE Często stawia się pytanie, czy komuniści wierzą, że ich utopie zostaną urzeczywistnione. To pytanie jest też jednym z objawów owej naiwności, na jaką komuniści zawsze spekulują. Ale ta naiwność jest podwójnie przykra. Naprzód zdarza się ona nie tylko ludziom prostym, lecz często także wykształconym, od których wolno wymagać, żeby nie okazywali naiwności. A następnie naiwnością ta jest w szczególności sposób zaborstwa moralnie: ci prostoduszni ludzie wychodzą z założenia, że kiedy ktoś głosi coś pięknego, — sama przyzwołość nakazuje nie podawać w wątpliwość jego dobrej wiary. To jest bardzo szlachetna tolerancyjność, ale w tej tolerancyjności jest niestety tyle krótkowzroczności i tak bardzo jest ona pozbawiona wszelkiego instynktu samozachowawczego, że trzeba ją uznać za zjawisko groźne. Ta tolerancyjność jest jednym z najbardziej niezawodnych haczyków, na jakie komuniści towią już nie tylko plotki, ale nawet śczupaki i karpie.

Komuniści wierzą w to, że ich piękne ideały mają nieprzerpary, uwodzicielski urok — w same te ideały jednak wierzą tylko tokujące głuszcze, które mniej lub więcej nieświadomie oddają nieocenione usługi komunistom. Takich usług głuszców komuniści znajdują najczęściej wśród literatów i „społeczników”.

„SZKODLIWOSC” To wycucie, że kiedy ktoś obiecuje raj na ziemi, musi mieć nieczyrste zamiary — mają wciaświe tylko chłopcy i ludzie, którzy gospodarują „na swoim”. Kto nigdy nie był obarczony odpowiedzialnością za innych, nie ma tego instynktu i chętnie daje się uwieść wyrotowej frazeologii. Tym tłumaczy się fakt, że komuniści po dorwaniu się do władzy zawsze niszczą naprzód dwie instytucje: własność (nawet małorolną) i rodzinę. Chcą mieć w państwie samych „proletariuszy”, tj. ludzi oderwanych od wszystkiego, co wzmacnia w człowieku poczucie odpowiedzialności. Człowiek pozbawiony odpowiedzialności jest jak muł: posłuszny, tępy, bez własnej woli; jedne objawy namiętności, jakie można w nim wywołać, okazuje wtedy, gdy się go катуje lub straszy. Ból i lęk — oto główne sprężyny „duchowe”, jakie jeszcze funkcjonują w mułach, zwany „uświadomionym klasowo proletariuszem”. Wiemy z doświadczenia, jak rządzący komuniści skutecznie umieją naciskać i przetrząsać. Jeżeli więc komuniści zwalczają własność, nie czynią tego ponieważ własność jest „niesprawiedliwą” (to jest tylko muszka na wędcę i motyw dla śpiewu głuszczy) — ale dlatego, że człowiek, nie pozbawiony własności, a więc odpowiedzialności, nie da się tak łatwo przerobić na muła; jeżeli zwalczają rodzinę, to nie dla tego, że to „przesąd” (na tę muszkę łowi się snobów „postępu” i czcicieli „rozumu”), ale dla tego, że człowiek bez rodziny ma słabsze poczucie odpowiedzialności, a więc łatwiej staje się mułem.

DOBROWOLNE Ludzie prostoduszni, którym mówi się teocystyczne prawdy, cofają się zawsze przed wnioskiem, który z nich wynika: że komuniści wcale nie dają do jakiegoś „lepszego” porządku społecznego, ale że jedynym ich celem jest zniszczenie istniejącej i wogóle wszelkiego porządku społecznego. Kiedy im się wskazuje na żywe przykłady, które dziś już dostępne są wszystkim — mówią zwykle: „zapewne, bolszewizm nie jest formą przyszłości, ale formą przyszłości jest jednak jakiś uszlachetniony komunizm”. Oto muł do browo! Tak słabe są podstawy naszej cywilizacji, że najpocziwsi ludzie widzą „lepszą przyszłość” już tylko w ideałach rozkładu!

EGZOTYKA Ludzie prostoduszni nie wierzą w istnienie demonicznych namiętności. Ten zanik poczucia psychologicznej rzeczywistości jest objawem towarzyszącym każdej dojrzałej cywilizacji. Człowiek, który nauczył się współczucia i wytepił w sobie wszystkie silne namiętności — przestaje wierzyć w istnienie silnych namiętności u innych. Silne namiętności stają się egzotyczne — lubimy słuchać o nich opowieści, ale takie opowieści muszą dziać się zdala od nas, na odległych łąkach i morzach albo w świecie podziemnym, z którym stykają się tylko policjanci i detektywi. Silne namiętności uważamy za bajkę. Nie umiemy sobie nawet wyobrazić, że tym, co kierowało i kieruje np. pionierami przemysłu, wielkimi przedsiębiorcami, albo zgłola ludźmi posiadającymi władzę — są silne namiętności. „To też jest człowiek, taki

„jak ja” — oto formułka psychologicznej naiwności. W ludziach, których przywykliśmy słuchać, w ludziach posiadających umiejętność rozkazywania, widzimy tylko muły, wykonujące funkcje wyższego rzędu. „Ktoś to musi robić, ktoś musi organizować i rozkazywać” — oto formułka socjologicznej ignorancji.

PSYCHOLOGIA Jak nie rozumiemy namiętności rodzających się z nadmiaru sił, z wielkiego talentu, z głębokiej harmonii wszystkich władz fizycznych i duchowych — tak samo nie rozumiemy namiętności, jakie budzą się w ludziach poronionych, w wykołobionych, w duszy rozbitej i do dna rozszczepionej. Nie domyśliły się nawet, jaką potęgą może stać się zawiść.

Z głębi własnego rozdźwięku, z samego dna swojej niemocy duchowej taki człowiek, wykołobiony często od urodzenia, zięje nienawiścią do wszystkiego, co jest mocne, zdrowe i harmonijne. I ta nienawiść staje się jego siłą; wokół tej nienawiści krystalizują się resztki jego energii; potęga, która go od wewnątrz rozkłada, jeszcze raz staje się ośrodkiem skupiającym wszystkie siły. Nie powstaje z tego żadna ciągłość, a tym mniej żadna mocna, do rozwoju zdolna struktura: to jest psychika popadająca z ostatecznością w ostateczność, z najgłębszej depresji i rozpreżenia w nadmierne poczucie mocy i dynamiczny rozmach. Ale taki człowiek szybko uczy się szatańskiej przebiegłości, wszystkich sztuczek życiowego aktorstwa. Na ludzi prostych robi on fascynujące wrażenie. To jest tajemnicza potęga, jakim cieszą się w masach fanatycy i opętanci. Do tego typu należy m. i. także Hitler.

Prawdziwy komunista, a więc nie ten, kogo komuniści uwiedli i kto powtarza ich frazesy (snob, głuszc etc.) ale ten, kto „ewangelii” komunistycznej tworzy ciągale na nowo — to zawsze taki typ nihilisty, człowieka, którego sama natura spycha w dół, na niziny społeczne, na peryferie ludzkości i który stamtąd wraca mścić się za swoje upokorzenie i upodlenie.

DROGA DO ABSOLUTNEJ TYRANII Dzisiaj nie potrzeba sobie już nawet wybrać, co się dzieje ze społeczeństwem, w którym nihilisci znaleźli się u władzy: dzisiaj można to obserwować. Olbrzymie stado mułów, nad którym świszcze bat — oto, co w praktyce powstaje tam, gdzie obiecywano raj na ziemi. Kto sobie wmawia, że to tylko „błędne wykonanie”, że „inni ludzie” zrobiliby to „inaczej” — jest ofiarą tokujących głuszców i najlepszym materiałem na muła. Idee poczęte z pragnienia zemsty za własne upodlenie — idee pomyślane jako dynamit, a nie jako fundament — idee, sprzeczne z naturą i wyrzające cały naturalny porządek wartości — nie mogą nigdy, w żadnych warunkach stać się podstawą ładu społecznego. Kto tepi wszystkie szlachetne, a więc silne instynkty człowieka, kto pozbawia go własnej woli i poczucia odpowiedzialności, kto podcina korzenie hierarchii społecznej, bez której nie ma ani ładu ani nawet dobrobytu — ten nie szkuje ludzkości „raju na ziemi” — tylko przekształca ludzi w „proletariuszy”,

(Ciąg dalszy na str. 6)

POLACY W AFGANISTANIE

(Dokończenie ze str. 4)

czuwa brak profesorów lekarzy, fizyków, chemików itd. Szkołom brak nauczycieli języka angielskiego i francuskiego.

Życie zbiorowe kolonii polskiej w Afganistanie jest zogniskowane w Bibliotece Polskiej. Powstała ona staraniem kilku bardziej uświadomionych społecznie Polaków, którzy oddali wszystkie posiadane książki do Biblioteki Polskiej. Ponieważ zaś większość z nich stanowili nie uchodzący, ale wychodzący, Biblioteka liczy dziś około 1000 tomów. Tak, Czytelniku! W tym nieznanym, tak odległym kraju znajdziesz 1000 książek polskich, powieści, wierszy, poezji, książek fachowych itd. Wszystkie pisma polskie wychodzące w Angli, Stanach Zjednoczonych do-

chodzą do Biblioteki Polskiej w Afganistanie.

Nieliczni Polacy w Afganistanie zaraz po wybuchu obecnej wojny opodatkowali się dobrowolnie na rzecz Funduszu Obrony Narodowej. Przelali oni na ręce Naczelnego Wodza na pomoc ofiarom wojny do listopada 1942 r. kwotę około 300 funtów angielskich, a na walnym zebraniu Biblioteki Polskiej poświęconym F.O.N. w dniu 13 listopada 1942 r. postanowiono zebrać kwotę 429 funtów ang. przekazać Naczelnemu Wodzowi w Londynie na pomoc ofiarom wojny.

Jest to jeszcze jeden dowód, że choćby najdalej od kraju, serce Polaków bije dla Ojczyzny i nigdy o Niej nie zapomni.

„DRUCIKI MAJĄ GŁOS...”

Wśród skwarnych pól i wzgórz egzotycznego Kurdystanu białą się płachy namiotów. Małe tabliczki przy drodze zdobią zielone świerki. Rzędy dźwiał, okryte kapturami jak sokoly myśliwskie, misterna sieć pajaków-druciarzy i anten radiowych. Najstarszy pułk artylerii lekkiej. Kilka namiotów, jak wiele innych, rzędy łózek, pod kant „kostki” plecaków, worków, płaszczy, nerwowe w podmuchach Akwilona moskity i mieszkający jak w innych młodzie, weseli, rozhułkani życiem. Któż wśród nich odróżni tych, którzy przez gorące piaski Libii tu zasłali, lub tych z tajg Sybiru, tundry, lasów Uralu, stepów Kazachstanu, upalniego Uzbekistanu czy Turkiestanu.

Przyszła kadra instruktorków, szkoła łączności.

Pękaty rozsiadł się grzyb stary namiotu wykładowego, szeroko ramionami lin, jak ośmiornica, trzyma się spalonej, kamienistej gleby. Rude ściany zdobią historyczne napisy — rozkręczone ławki podtrzymują kulawe stoły, zdobne w pamiątkowe freski serc, głów, sylwetek i imion.

Od kilku tygodni wtajemniczają się w zawiłe funkcje super-heterodynu, alfabetu Morse'a, kaemu Bren'a, pistoletu Thompson'a, służby wartowniczej, transformatorów, pracy triody i pentody, łącznicy, musztry, melodii fullertonu, strojenia radiostacji, wszystkich liczb i wzorów, zawiłych tysięcy, wcięć topograficznych, taktyki walki, powinności żołnierskich i dział liczących na funty. Jak obsłuzę centralę telefoniczną, jak „pisać stoncem”, kiedy ubrać maskę i co to Artur. Służba w polu wyszka znojny pot, gdy zakładają linie ogniowe i roka-dowe na skalistych punktach obserwacyjnych. Ciężka zaprawa do drogi, która czeka.

Jak działa się sercem pułku, łączność stanowi jego nerwy. Odpowiedzialna choć mało efektywna praca druczka wymaga opanowania zawsze i wszędzie.

Szeszczą zawzięcie kartki notatek, skrzypią ołówki i pióra w płóciennej uczelni, marszczy się w wysiłku śliskiej kredy czarne czoło tablicy, ta-ti-ta-ta na różne tony brzęczyków przypomina jakiś ruchliwy urząd telegraficzny — brak tylko klientów.

Czasami przepędzi ich groźny szef: gdy nie chce się głowie, nadrobią nogi. Nieliczna szkoła lecz dobrana, to niemal mała podchorążówka łączności.

Gruby „Churchill” z zapalem pokonuje wzgórze wysiłku myślowego, znany footballista Kazio pora się z brzęczykiem, „bladoliczy” marzy. „Szłomka” kombinuje nad jakimś zawiłym problemem zaopatrzenia, Kuba aż pali się czerwienią swych włosów, od planów podboju... „Kędzierzawy” błądzi gdzieś po Afryce, niepoprawni gołębiarze wodzą z zachwytem za swymi pupilami, którzy strzelistym lotem mącą drgające żarem upału powietrze. Wracą ich do rzeczywistości głos dowódcy szkoły, który wszystko widzi i zna każdego myśli.

Jeszcze kilkanaście dni i wrócą do oddziałów, by jak dobrze nata-dowany akumulator pulsować swą energią wiedzy.

Zbigniew Klink

Anglia a Powstanie Listopadowe

(Dokończenie z nru 28)

Stary siedemdziesięcio-kilku letni Niemcewicz, mimo że otaczała go w Anglii aureola weterana walk Kościuszkowskich nie nadawał się już na dyplomata. Był człowiekiem zbyt krewkiego temperamentu i szczerych bezpośrednich wypowiedzi. Palmerston — minister spraw zagranicznych — znajdował, że jest „zbyt gorący”. Niemcewicz natomiast, zrażony oschłością Palmerstona, skarżył się że jest „zimniejszy niż lód”.

Mimo wszelkich trudności wypływających zarówno z sytuacji politycznej jak i różnicy temperamentów, był Niemcewicz niestrudzony w zabiegach około wykrzesania pośród Anglików jak najwięcej sympatii i zrozumienia dla Polski. „Może nigdy — pisał później Czartoryski — nie okazał Niemcewicz swojej Ojczyźnie tyle bezgranicznego przywiązania jak w tej właśnie ostatniej swojej służbie publicznej... Nie zważając na podoszybie wiek i słabość zdrowia, myśli o wszystkim i widziałem go pracującego dzień i noc wyłącznie dla dobra Polski”.

Byli inni, którzy w Londynie w tym samym czasie z największą zaciekleścią pracowali przeciwko Polsce krzyżując starania Polaków. Ośrodkiem tej pracy była ambasada rosyjska, kierowana przez ks. Lieven i jego wybitną żonę, jedną z najruchliwszych postaci politycznych nad Taurisz. Wpływy rosyjskie paraliżowały działalność Niemcewicza, który ogromnie skarżył się zwłaszcza na księżnę Lieven. Zdołała ona sobie wyrobić w kołach londyńskich zupełnie szczególne stanowisko urastające do swego rodzaju siły politycznej, z którą niemal wszyscy się liczyli. Mieszkając w Londynie już od 18 lat miała mnóstwo przyjaciół wśród najwybitniejszych polityków angielskich wszelkich ugrupowań. Sympatyzując z torysami żyła dobrze z liberałami zawsze pamiętając o interesach polityki rosyjskiej.

Księżna Lieven była więc na terenie Londynu jednym z najczciwszych wrogów Polski. Była to siostra generała rosyjskiego Aleksandra von Benckendorff z Kurlandii, konfidenta Mikołaja I i organizatora tajnej policji rosyjskiej. Pełniła ona

na terenie Anglii swego rodzaju służbę wywiadowczą na rzecz Rosji. Niemcewicz, który nazywał ją „agentem polityki rosyjskiej w spódnicy”, nie mógł zrozumieć, że ta stara, brzydka kobieta „może mieć takie wpływy i może w ten sposób nagiąć ludzi do swoich decyzji”.

Do bliższych przyjaciół pani Lieven należały takie osobistości jak b. premier Liverpool, lord Castlereagh, lord Aberdeen, ks. Wellington, premierzy Canning i Peel oraz lord Harrowby. Jedyne zimny Palmerston trzymał się zdala od niej, za co go pani Lieven szczerze nie lubiła i jak mogła szkodziła mu określając go jako „mały umysł”. Dzięki takim stosunkom ks. Lieven nie tylko oddziaływała na rozstrzygnięcia takich czy innych problemów politycznych lecz nawet oddziaływała na losy różnych gabinetów rządowych w Anglii. W kwestii polskiej była tak nieprzejednana, że nie pozwalała, by w jej obecności mówiono korzystnie o Polsce, a kiedy zdarzyło się, że jeden z urzędników francuskiej ambasady zyczliwie odezwał się o Polsce, zażądała od ambasadora Talleyranda usunięcia tego urzędnika.

W tych warunkach Niemcewicz nie mógł nic uzyskać od rządu angielskiego. Widząc beznadziejność swoich wysiłków niecierpliwie wycekiwał w Londynie przyjazdu ks. Adama Czartoryskiego, którego ogromne osobiste stosunki w europejskim świecie politycznym, oraz fakt piastowania prezesury polskiego Rządu Narodowego, dawały mu zagranicą stanowisko takie, jakiego żaden Polak nie posiadał i przedstawił go na kierownika polskiej polityki międzynarodowej na emigracji.

Tak więc w okresie Powstania Listopadowego, w momencie wielkiego niepodległościowego zrywu narodu polskiego, Anglia zachowała w stosunku do Polski całkowitą rezerwę a nawet obojętność. Zarówno premier Grey, jak minister spraw zagranicznych Palmerston reprezentowali słabość polityczną Anglii w stosunku do kontynentu. Szczerze przyznawali się do tego, iż nie widzą możliwości wpłynięcia na zmianę kursu polityki rosyjskiej. Grey w późniejszych latach żałował, że silnie nie bronili odrębności Królestwa Kongresowego, żałował że nie wystąpił floty na Bałtyk. Palmerston, który mimo wszystko był wśród polityków angielskich jednym z tych, którzy najlepiej rozumieli doniosłość Polski w całokształcie układu politycznego Europy, nie mógł być zadowolony z obrotu wypadków i dlatego w trosce o spokój polityczny Europy dawał instrukcje ambasadorowi angielskiemu w Petersburgu by wstąpił się u cara za utrzymanie konstytucji Królestwa Kongresowego i prosił o ogłoszenie amnestii. „Polacy — pisał Palmerston — rozwinieli w czasie ostatniej walki zalety inteligencji i męstwa, które wskazują, że potrafią być poddani mi pożytecznymi lub groźnymi, zależnie od sposobu w jakim będą rządzeni. Byłoby zbyt wiele wskazywać, jaką siłę można z nich wydożyć... narodu, pełnego energii, przedsiębiorczości i inteligencji, o ile jest przywiązany do swego władcy i zaspokojony co do warunków politycznej egzystencji.”

Jan Szuldrzyński

LISTA OFIAR KATYŃSKICH

Dziennik „Więści Polskie” wychodzący w Budapeszcie przynosi część listy ofiar zidentyfikowanych w Katyniu. Figurują tam następujące nazwiska:

Bolbat Antoni, kpt. Henryk Duszynski, ppor. Józef Kubiak, Aleksander Knaufl, ppor. Stefan Majewski, Stanisław Zubrakowski, Marian Hejnowski, Leon Malinowski, Ignacy Ziemiński, por. Edmund Gauss, Szulborski (brak imienia) ppor. Tomasz Goettinger, Heliodor Henryk Zabik, Antoni Rodziejewski, por. Andrzejewski, inż. Józef Niwiński, Marian Keński, por. broni pancerniej Tadeusz Wędrowski, ppor. Witold Wierzbicki, Władysław Sokółowski (ur. w Lyskovicach) Stanisław Miladowski (ur. 1905) Stefan Kowalewski, por. Władysław Stepien, por. Zygmunt Marian Horbowy, ppor. Józef Frelkiewicz, ppor. Zygmunt Oziab, ppor. Stanisław Smiatek, por. Jan Sienkiewicz (ur. w Wilnie 1897) por. Idzi Ludniewicz, Stanisław Wapolewski, Romuald Sobczyński, Stefan Słysz, ppor. Tadeusz Stanisław Lisowski, por. Stanisław Marek Przyjemski, porucznik Roman Marcin Feldt, por. Michał Kobziński, por. dr Michał Gardziński, Jan Filipek, dr kapitan Józef Woźniak, kpt. Stanisław Zweisozik (?), kpt. Jan Marian Werner, Józef Kucstański, kpt. Edmund Wróblewski, Czesław Orlikowski, Stanisław Pruszczyński, ppor. Bronisław Baran, Piotr Szymczak, por. Bolesław Ruhm, ppłk lekarz Stefan Franciszek Wąsowski, kpt. dr Roman Biłek, kpt. inż. Wiktor Ficik, Leon Istawka (?), Szymon Iwiński płatnik sztabowy, kpt. dr med. Pietrasiewicz, ppor. Teodor Bobrowski, ppor. Stanisław Selesos, kpt. Jan Franciszek Raczynski, kpt. Roman Peszka, kpt. Karol Szpa, kpt. Witold Sierpiński, por. Stanisław Gerlicz, por. lekarz Stefan Wierzejewski, por. Eugeniusz Szmidt, kpt. Roman Postemski, kpt. Aleksander Tyszkiewicz, kpt. lotnictwa Wacław Pielański, Kazimierz Bankowski, inż. Jan Gajewski, ppor. Władysław Miller, Garstka Henryk nauczyciel, Feliks Weislo, Lech Słabiński, mjr Stanisław Trojan, por. Kazimierz Węgen, kpt. Konstanty Anton, kpt. Jan Rzecki, mjr Walerian Orłowski, kpt. Zygmunt Obrzycki, kpt. Józef Szttyfer, Józef Bielec, ppor. Gerczak.

OD REWOLUCJI DO TYRANII

(Dokończenie ze str. 5)

w sztuczne męty społeczne, społeczeństwo w stado mulów. POCO to robi? Żeby uzyskać posłuszne narzędzie. Do jakich celów? Do zniszczenia ładu na całym świecie. Rewolucja komunistyczna nie ma żadnych pozytywnych celów.

Każda rewolucja kończy się tyranią. Uczą na tego dzieje. Ale rewolucja komunistyczna kończy się tyranią absolutną i nieodwołalną. Tyranią oświeconą: niczego nie pozostawia swobodnej grze sił, kontroluje i reguluje wszystko. Rządzący groźbą i strachem, głodem i terrorem, — wyniszczą zarodki wszystkich sił, któreby ją mogły obalić. Naród, który opanuje taka tyrania — cofa się ku barbarzyństwu. Tyrania po-komunistyczna jest wyrokiem śmierci wydanym na wszelką kulturę i cywilizację. A rewolucja komunistyczna musi kończyć się tyranią.

Mieczysław Roman

RADIO BAGDAD

25.VII. niedziela, godz. 19—19,20

1) Dziennik radiowy. 2) M. Hemar. Polonez—montaż słowno-muzyczny.

26.VII. poniedziałek, godz. 19—19,20

1) Dziennik radiowy. 2) K. Wierzyński. Na kolumnę Zygmunta—

muzyka. 3) Muzyka i piosenka.

27.VII. wtorek, godz. 19—19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Tygodniowy przegląd wydarzeń w oprac. M. Romana. 3) Muzyka z płyt.

28.VII. środa, 19—19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Jan Lechoń. Legenda-wiersz. 3) Chopin. Dwa walce.

29.VII. czwartek, godz. 19—19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Piosenki szczęśliwych dni (płyty).

30.VII. piątek, godz. 19—19,20

1) Dziennik radiowy. 2) W dwa lata po układzie polsko-sowieckim—Zb. Raciński. 3) Fragment z „Pana Tadeusza”. 4) Muzyka i piosenka.

31.VII. sobota, godz. 19—19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Z cyklu „O czym się mówi i pisze na świecie” w oprac. R. Mossina. 3) Pogadanka religijna. 4) Chopin. Nokturn e-dur.

CZY NIEMCOM ZMIĘKNIE RUHRA?

Bombardowanie Niemiec zachodnich, a w szczególności Zagłębia Ruhry przez lotnictwo sprzymierzone nasuwa pytanie, czy jest rzeczą możliwą drogą samego tylko bombardowania z powietrza doprowadzić do unieruchomienia całego gałęzi przemysłu, a tym samym wygrać wielkie bitwy na odcinku gospodarczym.

Uświadomić sobie trzeba, że ostatnie naloty na zachodnie Niemcy są dokonywane najczęściej w nocy i na ogół z większymi wysokościami, a więc nie mogą być obliczone na wielką celność, a raczej na duże skupienie ognia i na bardzo wielką wagę zrzuconych bomb.

W Zagłębiu Ruhry oraz przyległych okręgach Westfalii i Nadrenii skupione są przede wszystkim dwie gałęzie przemysłu: ciężkie hutnictwo i wydobywanie węgla. Tutaj się grupuje ok. 70% całej produkcji właściwych Niemiec w tych dziedzinach (bez krajów okupowanych i anektowanych). Czy więc przemysł ten może być unieruchomiony w całym tego słowa znaczeniu przy stosowanej taktyce nalotów?

Należy przede wszystkim rozgraniczyć sprawę górnictwa węglowego od problemów hutnictwa żelaza. Górnictwo węglowe jest z natury dobrze dostosowane do wymagań obrony przeciwlotniczej. Ołbrzymia większość czynności produkcyjnych, a wszystkie czynności wydobywcze odbywają się pod ziemią, w warunkach gwarantujących bezpieczeństwo przed nalotami. Dlatego też górnictwo węglowe nalotami z powietrza zniszczyć, albo unieruchomić nie można. Nie znaczy to bynajmniej, aby produkcja węgla nie była narażona na bardzo poważne wstrząsy: zniszczenia powierzchniowych stacji energetycznych, unieruchomienie stacji pomp w kopalniach walczących z wodą, uszkodzenia systemu wentylacji, zatrzymanie transportu (zarówno pionowego pomiędzy podziemiem a powierzchnią, jak i poszczególnymi odcinkami podziemia), wszystko to grozi częstokroć strasznymi katastrofami górniczymi. Najgroźniej chyba przemysł węglowy zagrożony jest od strony

transportu naziemnego, tzn. od strony zagadnienia wysyłki wydobytego węgla. Istniejący w tej dziedzinie kryzys, z dnia na dzień potęgowany bombardowaniem sojusznicy, może zaostrzyć się do tego stopnia, iż wysyłka węgla z Zagłębia Zachodniego ustanie wcześniej, aniżeli produkcja.

Znacznie jednak krytyczniejsza jest sytuacja hutnictwa żelaza. Ta gałąź przemysłu jest może nawet bardziej narażona na groźne skutki bombardowania, aniżeli analogiczne gałęzie przemysłu w innych krajach.

Przed wszystkim bowiem stopień skupienia tego przemysłu w Zagłębiu Ruhry jest znacznie większy, aniżeli w większości krajów przemysłowych. Waga przywiązywana przez ekonomistów tego przemysłu do tzw. „Standortsfrage”, tzn. korzystnego położenia w stosunku do złóż węgla i rudy i najważniejszych szlaków komunikacji zarówno wodnej jak i kolejowej, zakreślała dla tego przemysłu bardzo wąskie granice w sercu zachodnich Niemiec, podczas gdy względy strategiczne jak i gospodarcze nie odegrały poważnej roli.

Ponadto poszczególne huty są — jak na stosunki europejskie — bardzo dużych rozmiarów. Podczas gdy np. średnia huta żelaza na polskim Śląsku ma zdolność produkcyjną ok. 150.000 ton stali surowej rocznie, w naszym Zagłębiu Dąbrowskim ok. 50.000 ton, we Francji znacznie poniżej 100.000 ton, huty żelazne Zagłębia Ruhry przeciętnie posiadają zdolność wytwórczą pomiędzy 300 a 500 tys. ton stali surowej rocznie. Jedna celna bomba zrzucona w punkt neutralny takiej huty posiada kilkakrotnie wyższą skuteczność niszczyelsko-gospodarczą, aniżeli w warunkach panujących w innych krajach. Po prostu sytuacja analogiczna do bombardowania z powietrza statku o pojemności 5 lub 30 tysięcy ton.

Hutnictwo żelazne Zagłębia Ruhry stanowi typ przemysłu znakomicie zrationalizowanego. Ok. 60% wszystkich zakładów hutniczych tego okręgu administrowanych jest od lat centralnie przez jeden koncern prze-

mysłowy (Vereinigte Stahlwerke z siedzibą w Düsseldorfie). Pierwszym warunkiem racjonalizacji jest eliminowanie wszelkich zbędnych przebiegów tworzywa i półwytworu, a więc transportu. Stąd konstrukcja hut o idealnych warunkach tzw. koncentracji pionowej, w których poszczególne czony procesu hutniczego (koksownie, wielkie piece, stalownie, walcownie) zgrupowane są na możliwie małej przestrzeni, sprzyjającej ekonomicznemu przesuwaniu surowców i półfabrykatów jednego działu produkcji do drugiego. Ekonomika jest tutaj w największej niezdolności z taktyką. To, co z punktu widzenia rentowności procesu produkcyjnego byłoby najbardziej celowe, okaże się obecnie niemniej celowe z punktu widzenia nieprzyjaciela atakującego te objekty.

Dalszym wynikiem racjonalizacji jest koncentrowanie produkcji jednego i tego samego produktu w możliwie niewielu, najlepiej w jednym zakładzie wytwórczym. I ten aspekt racjonalizacji odnajdujemy w wysokości mierze w hutnictwie żelaznym Ruhry. Typowym przykładem służyć może produkcja rur, których ołbrzymia większość (mam na myśli rury ciągnięte bez szwu) wytwarza jeden tylko zakład (Mannesmann Rohrenwerke). Już teraz wzmianki dziennikarskie mówią o braku rur w Niemczech. By sobie uświadomić znaczenie tego faktu, wystarczy nadmienić, że przemysł naftowy bez rur wiertniczych w ogóle obyć się nie może.

Inym rysem racjonalizacji jest centralizacja gospodarki cieplnej i energetycznej, a więc opieranie się na możliwie wielkich, a tym samym ekonomicznych centralach energii, ołbrzymich kotłowniach, obsługujących nie tylko szereg działów wytwórczych, ale szereg zakładów. I tu skutki są oczywiste.

Wreszcie przemysł hutniczy, jak większość przemysłów surowcowych, wymaga procesu ciągłego. Fabryka wytwarzająca lokomotywy, wagony kolejowe i silniki Diesla może np. w razie zniszczenia hali budowy lokomotyw kontynuować prace w dziale wagonów i silników Diesla.

Huta żelazna natomiast, której stalownia np. ulegnie zniszczeniu w praktyce nie będzie mogła utrzymać procesu produkcyjnego. Koks będzie wprawdzie płynął z koksowni do wielkich pieców, które nadal będą wytwarzały płynną surowkę, ale tej surowki nie będzie można przelać do zniszczonych pieców martenowskich, lub mieszalników, a walcownie staną z powodu braku wlewów stalowych, będących materiałem wstępnym do dalszego walcowania. Na wielkich piecach powstaną zwały nieużytecznej surowki.

Problem transportu jest dla hutnictwa żelaznego podwójnie istotny: z punktu widzenia dowozu surowców i wysyłki produkcji. Wystarczy wspomnieć, że dla wytworzenia jednej tony stali surowej trzeba dowieźć do hut, łącznie z węglem, z górą 5 ton surowców i materiałów pomocniczych. Te ołbrzymie transporty opierają się na skomplikowanym systemie przewozów kolejowo-wodnych, z Duisburg-Ruhrort jako punktem centralnym, łączącym sieć kolejową z reńskim systemem komunikacji kanałowo-rzecznej. Łatwo sobie wyobrazić skutki wielokrotnego bombardowania tego punktu, jak i konsekwencje niszczenia sieci kolejowej, dla obsługi przemysłu hutniczego.

Czy można przenieść produkcję hutniczą pod ziemię? Praktycznie nie. Naturalnie, pewne działy dalszej obróbki mechanicznej, a nawet niektóre walcownie mogą być instalowane w pomieszczeniach podziemnych. Trzon jednak hutnictwa żelaznego — koksownie, wielkie piece, stalownie — są związane z powierzchnią. Problemy techniczne związane np. z samą tylko wentylacją takiej podziemnej huty byłyby gigantyczne. Nie rodzaj, nie jakość, ale ilość trudności technicznych stanowi tu zapórę nie do przebycia. Los przemysłu hutniczego dzieli ołbrzymia moc innych gałęzi lżejszego przemysłu.

Gmach Syndykatu hutnictwa niemieckiego, słynnego „Stahlwerksverbandu” w Düsseldorfie, obydny w swej pretensjonalności okaz teutońskiej architektury, którego wzorem i inspiracją była architektura zamków krzyżackich, o ile jeszcze stoi, jest pewnie świadkiem niewesołego narad. Wódz hutnictwa niemieckiego p. Ernest Poengen, który w czasie poprzedniej wojny w mundurze majora artylerii wywiązał się znakomicie z zadania rekwizycji wszystkich dających się przenieść urządzeń z okupowanego przez Niemców Zagłębia Dąbrowskiego, ma dzisiaj właściwsze pole do popisu. Obawiać się jedynie należy, czy wyniki będą równie znakomite.

Przemysł hutniczy Ruhry, jeśli takie są założenia planów alianckich, przestanie istnieć, jako produktywny członek gospodarki Rzeszy.

A z tej gigantycznej bitwy gospodarczej, pierwszej i jedynej dotychczas w swoim rodzaju, wypadnie technikom, ekonomistom i taktykom wysnuć wnioski na przyszłość co do możliwości lepszego dostosowania racjonalnych rozwiązań w dziedzinie organizacji procesu wytwórczego do niebezpieczeństw nowej taktyki wojny powietrznej.

S. A. M.



Zakłady Kruppa w Essen zbombardowane przez R. A. F. Zdjęcie dokonane przez lotnika brytyjskiego bezpośrednio po nalocie.

tygodniowy

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

ZPH

NOWY RZĄD POLSKI

Trzy były możliwości rozwiązania kryzysu rządowego powstałego automatycznie wskutek śmierci gen. Sikorskiego.

Rząd autorytetów, czyli ludzi wybitnych, powołanych do rządu dla swych specjalnych kwalifikacji i cieszących się zaufaniem Prezydenta R. P.; rząd szerokiej koalicji, to jest obejmujący pełnomocnościowych przedstawicieli wszystkich partii politycznych i wybierających się nie-partijnych kierunków politycznego myślenia, czyli w pełnym sensie rząd zjednoczenia narodowego; oraz rząd wąskiej koalicji jakim był rząd gen. Sikorskiego.

Zrealizowana została trzecia alternatywa. Nowy rząd jest z małymi zmianami identyczny z dawnym rządem gen. Sikorskiego, pozbawionym niestety jego osoby.

Nas interesować może specjalnie osoba nowego ministra stanu na Sr. Wschodzie, którym jest p. Henryk Strassburger powołany na miejsce p. Tadeusza Romera, mianowanego ministrem spraw zagranicznych.

P. Strassburger, ostatnio przez szereg lat minister skarbu w rządzie gen. Sikorskiego, odgrywał jeszcze przed wojną dość znaczną rolę w życiu politycznym i gospodarczym kraju. Był ministrem przemysłu i handlu i przez szereg lat zajmował urząd generalnego komisarza R. P. w Gdańsku, gdzie wyróżnił się nieustępliwym stanowiskiem w obronie praw zagwarantowanych Polsce na terenie Gdanską przez traktat wersalski.

Prasa całego świata podkreśla oświadczenie ministra spraw zagranicznych Romera, że „jeśliby sprzymierzeni wystąpili z inicjatywą nawiazania stosunków między Polską a ZSRR, rząd R. P. taką inicjatywę będzie popierał”. Jest to zupełnie oczywiste. Stosunki dyplomatyczne polsko sowieckie zostały zerwane nie z naszej inicjatywy i nikt przytomny nie może przypuszczać, by leżało w naszym interesie posiadanie potencjonalnych wrogów i z tej i z tamtej strony barykady. Niemniej jest oczywiste, że żaden rząd polski nie poświęci na ołtarzu dobrych stosunków istotnych interesów kraju — taki rząd nie utrzymałby się ani godziny. Dlatego też nie znając intencji drugiej strony nie możemy bawić się w przewidywania, czy możliwe jest obecnie zawarcie układu regulującego podstawowe zagadnienia między obu rządami. Nie wyłączamy węższego porozumienia, obejmującego tylko sprawy niecierpiące zwłoki, których niezatłumienie odbijać się musi ujemnie na wartości obozu sprzymierzonych w czasie wojny.

Nawet najbardziej wąski układ nie mógłby jednak pomijać najpilniejszej dla nas kwestii, to jest losu setek tysięcy Polaków w ZSRR.

Porozumienie zawarte bez uwzględnienia tego zagadnienia byłoby plasterem przykrywającym ropiejącą ranę.

WALKI NA SYCYLI

Walki na Sycylii, choć ciężkie i krwawe, rozwijają się pomyślnie dla sprzymierzonych. W tej chwili już blisko pół wyspy znajduje się

w ich rękach. Wzięto do niewoli kilkadziesiąt tysięcy jeńców. Równocześnie lotnictwo aliantów nie próżnuje i poza częścią Sycylii bombarduje porty, miasta i lotniska południowych Włoch. Ostatnio przedmiotem wielkiego nalotu był Rzym. Był to pierwszy nalot na Wieczne Miasto. Brało w nim udział ok. 500 samolotów zrzucając 350 ton bomb.

Taktyką sprzymierzonych było dotychczas silne i długotrwałe bombardowanie punktów, na które zamierzano później skierować natarcie. Tak było w czasie wojny w Afryce, tak na Pantellarii i Sycylii. Sądząc z tych doświadczeń wolno przypuszczać, że następnym i niezbyt w czasie odległym terenem desantu alianckiego mogą się stać południowe Włochy.

O KAPITULACJE WŁOCH

Włochy bowiem stały się przedmiotem wszechstronnej ofensywy tak wojskowej jak propagandowej i politycznej sprzymierzonych. Cel tej ofensywy jest oczywisty — doprowadzić do wyłamania z szeregów „osi” pierwszego i do niedawna pożądanego partnera.

Desant na Sycylii, wyspie starannie przygotowanej do odparcia najeźdy, ma wykazać Włochom niemożność obrony przeciwko przeważającym siłom sprzymierzonych. Ataki bombowe mają zniszczyć przemysł włoski, zdeorganizować życie gospodarcze kraju, osłabić morale ludności. Niezależnie od tego prowadzona jest akcja propagandowa za pomocą prasy, radia i ulotek, których Brytyjczycy i Amerykanie narówni z bombami Włochom nie szczędzą. Punktem szczytowym tej kampanii było orędzie, jakie prez. Roosevelt i premier Churchill wystosowali wspólnie do narodu włoskiego. Wzamięm za zerwanie z Hitlerem i obalenie Mussoliniego obiecują wodzowie krajów anglo-saskich odnowionym Włochom godne miejsce w rodzinie europejskich narodów.

Wśród licznych cnót narodu włoskiego waleczność nie stoi na pierwszym miejscu. Przez długie lata usiłował Mussolini przekonać świat, że faszystowskie Włochy stworzyły wielką potęgę militarną. Był czas, że w ten bluff wierzone, dopóki wypadki nie odsłoniły prawdy. Włosi nie są Rzymianami z czasów Republiki, jak i Mussolini nie jest Cezarem. W dodatku sytuacja ich jest naprawdę beznadziejna.

Trzy lata wojny przyniosły Włochom tylko klęski i upokorzenia. Jak dotąd, stracili około miliona ludzi oraz całe swe z ciężkim i kłopotliwym trudem nabyte imperium kolonialne. Szereg ich wielkich miast leży w gruzach, a politycznie utracili swą niezależność na rzecz Niemców, których nienawidzą, a którzy znowu nimi pogardzają. Teraz na ziemi ich stanął wróg, o którym sami mówią, że „są nim dwa największe i najbogatsze imperia świata”.

Śląd też apel C. Churchilla i Roosevelta i alternatywa, przed którą zostali postawieni: „Życie dla Włoch

i cywilizacji, albo umierać dla Mussoliniego i Hitlera” musiały uczynić na Włochach głębokie wrażenie.

Rozpaczyliwe wystąpienia czynników włoskich dają świadectwo powadze sytuacji. Dzisiaj już nikt nie woła we Włoszech „Zwyciężymy, zwyciężymy”, a zalewają „Nie poddamy się”. Carlo Scorza, sekretarz partii faszystowskiej mówi: „Będzie mi się bronić wszelkimi sposobami”, ale naród, sterroryzowany przez Owre i Gestapo zaczyna pytać: Jak długo i po co?

Gdyby kapitulacja zależała od swobodnego wypowiedzenia się obywateli, nastąpiłaby prawdopodobnie już obecnie. Ale decyzji takiej nie mogą powziąć poszczególne obywatele, choćby cały kraj był jednomyślny w tej mierze. Na tego rodzaju akcję potrzeba zorganizowanej siły. A siłą w dalszym ciągu dysponuje Mussolini, który nie ma już nic do stracenia, no i Niemcy. Prasa włoska dość wyraźnie daje do poznania, że Włochy nie mają bynajmniej swobody dowolnego wycofania się z wojny.

SPOTKANIE HITLER-MUSSOLINI

Niemców przerażają nie tyle militarne ile polityczno-moralne następstwa możliwej przedzięk później kapitulacji Włoch. Militarne, zajęcie przez aliantów Półwyspu Apenińskiego jeszcze nie oznaczałoby samo przez się, że droga do serca Europy jest otwarta. Zarówno na linii granicznej francusko-włoskiej jak i dawnej austriacko-włoskiej, można trzymając w ręku przełęcze alpejskie doskonale się bronić przeciw atakom wychodzącym z terytorium Włoch. Jednakże efekt oddziaływania Włoch zarówno na morale innych sojuszników, jak i samych Niemców byłby tak katastrofalny, że mógłby spowodować dalsze odstąpienie i w konsekwencji upadek Niemiec.

Na kontynuowanie walki z nadzieją zwycięstwa pomimo rozbicia jednego z sojuszników i kapitulacji drugiego mogła sobie pozwolić Wielka Brytania. Ale Wielka Brytania wiedziała wówczas, że jest we wstępnej fazie rozwoju swego potencjału militarnego i że może liczyć na pomoc Ameryki. Tymczasem Niemcy dawno przekroczyli punkt szczytowy swej potęgi i na żadną pomoc znikąd liczyć nie mogą.

Dlatego też nie wesoło było na spotkaniu obu dyktatorów „osi”, które odbyło się ostatnio gdzieś w połnocnych Włoszech. Według komunikatu niemieckiego stwierdzono „jednomyślność poglądów obu mężów stanu i dano wyraz decyzji wspólnej walki do ostatecznego zwycięstwa”. Ugodniono też jakoby środki zaradcze dla zapobieżenia niebezpieczeństwom wynikającym z ofensywy sowieckiej i ataków aliantów na Włochy.

Spotkania Mussoliniego z Hitlerem od dawna przestały świat interesować. Nie mogą już bowiem wywrzeć poważniejszego wpływu na bieg wypadków.

WALKI W ROSJI

Ofensywa niemiecka w Rosji po początkowych, niewielkich zresztą, a okupionych znacznymi ofiarami sukcesach utknęła w miejscu. Co więcej, armia czerwoną przeszła do natarcia najpierw w rejonie Orła, obecnie jak się zdaje także i w Zagłębiu Donieckim. Niezależnie od tego, czy przeciwnatarcie sowieckie przyniesie teraz lepsze wyniki, sytuacja Niemców jest i tu bardzo ciężka. Wygląda na to, że sił do podjęcia skutecznej fensywy Niemcy już obecnie nie mają, a sami muszą się liczyć z tym, że wcześniej czy później, a najdalej chyba z początkiem zimy Sowiety zechcą podjąć jak corocznie ofensywę na większą miarę.

Odnosnie ostatniej nieudanej własnej ofensywy Niemcy twierdzą, że było to tylko uderzenie prewencyjne, którego celem było uprzedzenie planowej nieprzyjacielskiej ofensywy i zdeorganizowanie sowieckiego planu natarcia. Przebieg wypadków wydaje się potwierdzać tę możliwość.

CO BĘDZIE

Wszystko wskazuje na to, że najbliższe półrocze może nam przynieść wypadki o rozstrzygającym dla wojny z Niemcami znaczeniu.

Należy się liczyć z możliwością, że po zakończeniu walk na Sycylii, a może jeszcze przedtem będzie miała miejsce inwazja na terytorium macierzyste Włoch. Nie wiemy, czy Włochy zdobędą się na beznadziejną walkę do końca, jak to uczynili Polacy we wrześniu 1939 r.

Nie wiemy również, w jakim stopniu Niemcy zaangażują w obronę Włoch własne siły. Gdyby tak było, a gdyby równocześnie walki na froncie wschodnim wymagały kierowania tam rezerw, mogłoby obok inwazji na Włochy nastąpić desanty w innych częściach Europy. Dlatego niektórzy przewidują, że zima przyniesie Niemcom nowe klęski, których już ani żołnierze niemieccy ani naród nie wytrzyma. Inni, jak ostatnie amerykański min. marynarki płk Knox, ostrzegają, że rezerwy Rzeszy są jeszcze olbrzymie i zwycięski koniec wojny jest nader odległy.

Czy sprawdzenie się pierwszej grupy przewidywań — rychły upadek nie tylko Włoch ale i Niemiec — oznaczałby koniec wojny w Europie, czy dalby nam możliwość powrotu do domów i odbudowy państwa?

Niestety... jeszcze nie. W obecnym układzie jest to raczej mało prawdopodobne. Przed krajem naszym, przed Europą całą stoi jeszcze groźba nocy długiej niedoli.

Aby jej zapobiec, aby ją przezwyciężyć trzeba wielkiego napięcia woli i sił naszych oraz zrozumienia sytuacji, stanowczych i gotowości działania ze strony naszych sojuszników.

W przeciwnym razie światu grozi długotrwały chaos.

Z. R.

PAMIĘTAJ
— O —
DZIECIACH
POLSKICH
W Z.S.R.R.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Strz. B. S.-n. Dziękujemy za przesłane projekty ulepszeń technicznych. Przeczytaliśmy z zainteresowaniem i odesłaliśmy właściwym władzom.

Plut. Ant. Sz. Dziękujemy za list i uwagi. Przytoczony przez Pana zwrot rzeczywiście nie może być uważany za szczęśliwy, ale któremuż mówcy nie zdarzy się czasem wyrażenie mniej udane, a nie przytacza Pan dowodów, by należało przypuszczać złą wolę. Dla tego cały wywód dla ubocznego czytelnika jest typowym robieniem z igły widel. Cieszymy się, że Pan nie ma poważniejszych zarzutów. Z krytyką języka także się Pan pośpieszył: wyraz „jenerał” znajdzie Pan w słowniczku „Pisowni Polskiej” P. A. U. wyd. XI, na str. 91 i 96 jako równoprawny z „general”, natomiast użycie w języku francuskim „oblige” zamiast „oblige” jest błędem.

Wspomnienia, o których Pan pisze, mogą nas interesować, ale nie możemy ich ocenić przed przeczytaniem.

Strz. z c. Franc. St. Adres szkoły, o którą Pan zapytuje: Polish Forces M. E. Nr 222.

Stef. L.-ski. Dziękujemy za list i przesłane wiersze. Nie mamy przecież powodu do jakichkolwiek wobec Pana uprzedzeń i staramy się oceniać bezstronnie, ale naturalnie możemy się mylić. Jak widać z listu, tak się składa, że upodobania poprzednich redaktorów „Orla” były podobne do dzisiejszych. Nie odmawiamy tym wierszom zalet, ale rymowanie jest nadmierne często chwaskowe, a obrazowość opisu przyrody np. w drugiej zwrotce „Nilu” zupełnie zanika.

Pchor. Józef W.-ski. Dziękujemy za „Pasikonika”, z którego jednak nie skorzystamy. Prosił Pan o krytykę, więc powiemy szczerze: jest to jeszcze dalekie od dobrej prozy. Idealnym byłby utwór, w którym nic nie może być skreślone ani dodane bez szkody, a tu niemal każdy ustęp możnaby skreślić nie naruszając całości, a bodaj że i z pożytkiem dla konstrukcji wiele ustępów trzeba by skreślić. Radzimy czytać dobrą prozę, a w pisaniu dążyć do zwartości, unikać „wody”.

Inż. H. Z. Dziękujemy za artykuł w sprawie ukraińskiej. Bardzo nas ta rzecz zajmuje i doceniamy doniosłość potrzeby porozumienia, ale ujęcie taktyczne niezupełne nam odpowiada, a co gorsza w wypowiedzianiu się na ten temat jesteśmy obecnie skrupowani.

Por. Cz. B. Dziękujemy za nowe wiersze. „Defilada” i „Pustynia” w zupełności nam nie odpowiadają: w pierwszej pitoś dość tani i niecelny dobór słów, w drugiej obrażanie jakieś makabryczne. Natomiast „Droga” jest dość miła — zapewne ją wydrukujemy.

SALKAP. Dziękujemy za dwa artykuły, z których wszakże nie skorzystamy. Tendencję artykułu o Churchillu uważamy za szkodliwą.

Pchor. M. B.-ski. Dziękujemy za nadesłane wiersze, które nam jednak nie odpowiadają. Nadmiar gramatycznych rymów, ponadto niesłusznie Pan skasował wylewy Nilu, stanowiące nadal podstawę gospodarki Egiptu.

SPORT W N-tej DWIZJI

Notatka niniejsza ma stanowić powitowanie okresu sportowego w dywizji.

Był to niezwykły wzlot. Pod wpływem chłodnego klimatu północnej Mezopotamii rozgorzały namiętności sportowe, uśpione od blisko trzech lat. Obudził się duch współzawodnictwa. Rzecoznawcy postawili szybko trafną diagnozę, że namiętności są dostatecznie silne, aby po „skanalizowaniu” przymusiły je do wykonania pożytecznego dzieła.

Po wypowiedzeniu sakramentalnego „stań się!” dywizja przeżyła gwałtowny wstrząs. Sport, skoro już zaczęłam nadużywać określeń, zatargał wojskiem od „prajweta” do podporucznika. W szranki siatkówki, koszykówki i futbolu ruszyło coś około stu drużyn. Barwy koszulek i spodenek reprezentowały wszystkie kolory tęczy, wykupiono cały zapas detek, butów piłkarskich i nagoletników w promieniu tysiąca mil. Po kompaniach rozpoczęły się spisy ludności sportowej, próbowano nawet robić przesunięcia wewnątrz batalionów i brygad.

Wszystko to działo się zanim pierwszy dźwięk syreny sędziowskiej nie wtargnął do naszej codzienności.

Następny okres to były mistrzostwa. Mecze przeżywało się konwulsyjnie. Drużyny podzielono na porządne, kanciarские, dzentelmeńskie, rzeźnicze i fuksiarskie a sędziów na kaloszy i sympatycznych. Tu i tam wybiły ulubienicy tłumu. Zajaśniały nazwiska, od których aż huczało w namiotach — Ilodur, Krzysztoporski, Sitko, Honig, Lubowiecki, Sierakowski. Sport, zapomniany, wyrzucony od trzech lat do lamusa, odegrał się za wszystkie czasy, pokazał, że potrafi być siłą atrakcyjną nie mniejszą niż kino, czołówka teatralna czy książka, których żołnierzowi nie można było dostarczyć.

Po półrocznych utarczach dziś obliczamy plony. Mistrzostwo w piłce nożnej zdobył stary, zasłużony baon „tobruczan”, macierzysty baon Hodura. Niewiele ustępuje mu młody i jeszcze niedoświadczony baon Hoeniga. Spotkanie finałowe było bardzo gorące. Wynik 3 : 1.

Koszykówka przyniosła wielkiego „fuksa” w postaci zwycięstwa również starego tobruckiego baonu, znanego outsidersa w piłce nożnej. Do-

dać należy, że zwycięstwo było wprawdzie niespodziewane, ale w pełni zasłużone.

Nakoniec — w siatkówce — zwyciężyli przeciwpancerńi. Najrowniejsza drużyna we wszystkich trzech konkurencjach faworyt, publiczności.

Tyle o samych wynikach. W dniu 14 czerwca po wspomnianym wyżej finałowym meczu piłkarskim odbyła się karpacka „olimpiada sportowa” — to znaczy zakończenie sezonu sportowego w dywizji. Już na dwa tygodnie przedtem kompanie warsztatowe zabrały się do przygotowania nagród. Najwybitniejsze siły graficzne przysiadły faldów, pracowicie dziubki dyplomy mistrzowskie. Pralnie były przepełnione kompletami koszulek i spodenek. Każdy chciał się pokazać jak najpiękniej.

Nie dziwnego, że nie jeden gębę rozdzwiawił, jak 41 drużyn przy dźwiękach dziarskiego marsza weszło na stadion. Wszystko chłopaki na schwał, opalone i zdrowe, żadne utomki.

Sliczno to był obrazek. Wojsko aż oczy zabłysły. Na tle szarżyny przejaża naszej irackiej patelni, na tle nuzącego koloru khaki, anglety pyszny marsz czerwonych, niebieskich, białych i czarnych chłopaków. General stoi na trybunie, śmieje się do tej niezwyklej defilady, która jest i przypomnieniem lepszych młodszych lat i wróżbą lepszej przyszłości.

Potem było wręczenie nagród, przemówienie dowódcy dywizji i znów marsz i barwne kostiumy, cieszące oczy swą różnorodnością.

Abymy rzecz miała ręce i nogi statystycy pracują nad mistrzostwem. Gdy sporządzą swe sprawozdania, będą one zapewne tak nudne, że nikt nie doczyta ich do końca. Przewidując to wyciągamy co przedziej ciekawsze szczegóły, aby nie zginęły dla potomności.

- 1) Frekwencja widzów — ponad 100,000
- 2) Długość linii wylanych ropą 3.116 kilometrów
- 3) Powierzchnia boisk sportowych. 1.143 Ha (jak wyżej)

Słowem udał nam się nasz sezon sportowy wcale nieźle.

Witold Domański

POSZUKIWANIA

378. Deresz Ewa poszukuje córki Ireny Deresz (Suszczyńskiej). Wiadomości proszę przysyłać na adres: Mickiewicz Barbara P. F. P. 57. Polkowska Zofia prozona jest o podanie swego adresu.

379. Trembiński Jan (P. F. P. 60) z osady Jazłowieckiej, pow. Równe — poszukuje wychowanka Stepaniuka Władysława ur. w 1919 r.

380. Korzeń Stefan (P. F. P. 314) — poszukuje żony Leokadii i synów Mariana, Waldemara i Stefana.

381. Niedziałkowski Ludwik (P. F. P. 312) — poszukuje brata Henryka z Makowa Mazowieckiego.

382. Krzywicka Irena (Teheran, Polish Red Cross) poszukuje — Kotrysa Konstantego plut. zand., który 12. III. 43 r. wyjechał z Teheranu do Armii.

383. Maria Rybicka (Teheran, Obóz Cyw. Nr. 2, blok 29) — syna Tadeusza Rybickiego ur. 19. V. 1924 w Krzemieńcu, który wstąpił do wojska w Gorczakowie (ZSRR).

384. Jan Dorosz (P. F. P. 58) prosi p. Jana Dorosza (P. F. P. 517) o wiadomość w sprawie listów z kraju.

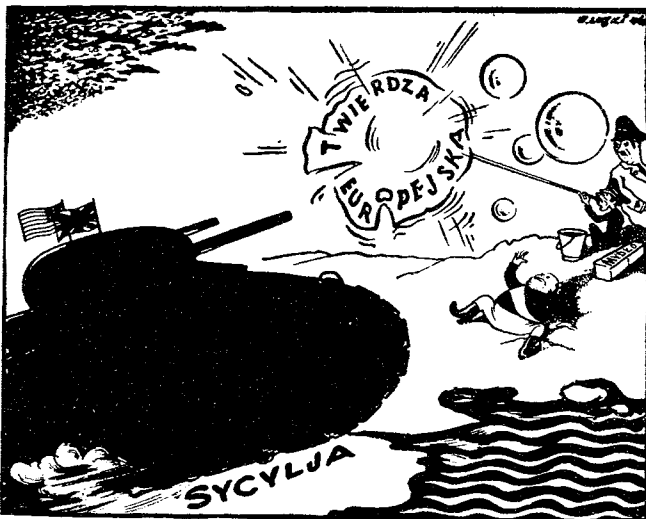
385. Przybysz Zbigniew (P. F. P. 341) — poszukuje Franciszka Przybysza oraz krewnych i znajomych z Halicza.

386. Szymak Wiktor z Postaw, woj. wileńskich (P. F. P. 423) — poszukuje krewnych i znajomych.

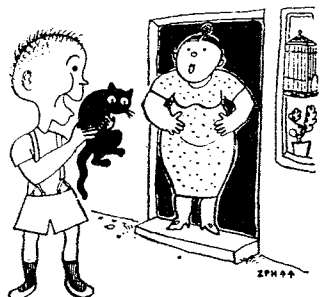
387. Ppor. Ambroży Michał (Polish Camp, H. Q. 34 Indian Infantry Brigade Paiforce) — poszukuje Amrobreżo Adolfa, syna Kazimierza, ur. 1896 i Amrobreżo Witolda, syna Wincentego, obydwóch z powiatu Włocławek. Prawdopodobnie znajdują się w Armii Polskiej.

388. Jan Zyga (Abadan Iran, Anglo-Iranian Oil Company, Marine Workshop) poszukuje Ryszarda Zyge, który wstąpił do Armii Polskiej w Czok-Paku (ZSSR) i wyjechał do Iranu w marcu 1942 r. i inż. Antoniego Sywelskiego, który również w marcu 1942 wyjechał z Armii do Iranu.

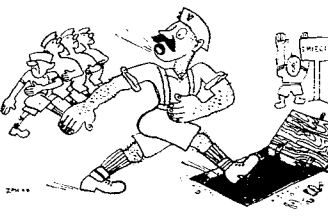
389. Danieliszyn Józef (P. F. P. 585) poszukuje żony i dzieci, wywiezionych do Rosji 13. IV. 1940 r. z Buczacza (Podlasie).



Pękał bańka mydlana



— Przynośże kanarka, który pani uciekła!
— Ależ to jest kot!
— No tak, ale kanarek jest w środku!



Sierżant do strzelca:

„— Patrz jak leziesz ofermio!” —

Na najmłodszego podchorążego



Najmłodszym w Szkole Podchorążych jest Frennd. Ma wszystkiego cztery miesiące. Najstarszy podchorąży jest od niego dokładnie 135 razy starszy. Ale pod względem wyszkolenia Frennd jest doskonałością.

— Pobudka, pobudka, wstać!

Na pustyni wciąż cisza. Tylko z namiotów rozlega się chrapanie.

— Psiakość! Wściec się można! — pomyślał Frennd. — Co ja mam z tymi doktorami! Wstawać im się nie chce!

I nagle powziawszy decyzję, Frennd machnął ogonem i z okropnym wraskiem wpadł do pierwszego namiotu. Jak burza przeleciał po łózkach gryząc wystające z pod nakarmników kończyny. Siłomione siatkami przekleństwa i odświeżnic wyczyszczone buty gonily go, gdy spełnwszy poranny swój obowiązek, wylatywał z namiotu.

Z wywieszonym ozorem Frennd przysiadł i figlarnie spojrział na wschodzące słońce.

— Ale im dalem szkoły! Teraz napewno zbiórka będzie na czas! — Gimnastyka. Poważni panowie z pewnym uprzedzeniem wykonują nieprawdopodobne ewolucje.

— Kolego Z! Wasza postawa przypomina mi pozycję embriona w łonie matki! — szepnął ginekolog do internisty.

— Nie rozmawiać w szeregu! — szczełknął ze złością Frennd. — Jest wojko, albo nie ma wojska!

— Ależ to sukinyń! — odszepnął

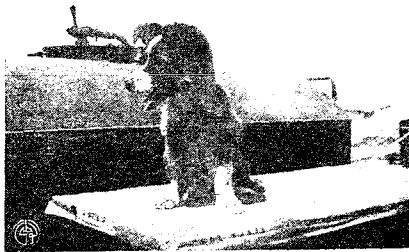
koledze ginekoiogowi kolega internista.

Apel poranny.

— Baczność! Równaj w prawo!

Frennd przebiegł przed szeregiem, krytycznie obserwując linię butów. Stał się. Zadarł łeb.

— Ach, z tym doktorem W. Znowu nie wyrównane! — szczełknął z oburzeniem. Doktor z rumieńcem



na ustach cofnął się do tyłu.

Frennd jeszcze raz, z boku sprawdził równanie.

— No! Jak na lekarzy można wytrzymać!

Pomaszerował na lewe skrzydło. Gotowe. Można meldować dowódcy kompanii.

Musztra piesza.

— Na ramię broń!

Tu Frennd nie wytrzymał nerwowo. Rozszczełknął się:

— Proszę panów! To jest wojsko, nie uniwersytec! Tu trzeba myśleć! Podchorążowie-lekarze byli wyraźnie zażenowani. Istotnie. Szczełknął marcią! Wojsko, nie uniwersytec!

Po godzinnej musztrze i ludzie i pies mieli dosyć.

— Wystarczy! — postanowił Frennd.

— Trzeba teraz coś z medycyny. Poskrobał się tylną łapą za uchem. — Cóż to w programie? Zerknął ku nadchodzącemu wykładowcy.

— Ach! toksykologia! — Nie ma głupich! Idę siedzieć pod ostatnią ławkę. Nie mam ochoty za młodu zdechnąć z nudów!

— Opryskiwanie z samolotu prawdopodobnie często do ogólnego... — monotony głos przy 40° C w cieniu znużył Frenda.

Pies się napracował — myśli —

— To inna sprawa! — ziewnął Frennd i pomaszzerował za podchorążymi.

— Przygotowanie do obiadu!

Frennd biegnie po namiotach. — Czy wszyscy gotowi? Jeszcze Z. czyści menażkę.

— A mówilem tyle razy, żeby myśleć zaraz po jedzeniu!

Frennd jest wyraźnie oburzony. Takie lekceważenie przepisów!

Na sali jadalnej brzęk łyżek i naczyń.

— Wiecie — mówi T. — Frennd ma wygodę. Je więcej od nas, a nie stoi w kolejkach i nie myje menażki!

— Cóż chcesz? Pies z cenzurem! My jesteśmy jego łącznikami!

Na czas przerwy obiadowej życie Frenda ulega zabamowaniu. Zawinięty w mokry ręcznik przestaje reagować na podniety zewnętrzne.

— Co za upał! — myśli Frennd — na taką pogodę nawet psa żal z domu wypędzić!

Na zajęcia popołudniowe Frennd chodzi tylko przez przyzwyczajenie. Na wykładach nie uważa i myśli o niebieskich migdałach. I tylko gwałtowne wypadki na przechodzące ochotniczkę z użyciem sali wykładowej jako podstawy wyjściowej, urozmaicają zajęcia.

Wieczór, to czas składania wizyt. Do Frenda przychodzi koleżanki i koledy z innych ośrodków. Frennd przedstawia swoje pieskie sympatie podchorążym.

— Widzicie, jakie mam powodzenie? Wiadomo, podchorążówka!

Pracowity dzień chylił się ku zachodowi.

W namiotach brydż, na sali obkują. Amatorzy wrażeń spacerują po sąsiednich pagórkach.

Godzina dziewiąta. Frennd zapoznaje wartownika z rejonem i znalazłszy dla siebie m. p. koło kuchni czeka na Wielką Przygodę.

N-ty dzień szkolenia minął.

Jerzy Lissowski

LISTY Z PODRÓŻY

Brama z „nikąd do nigdzie”

Dwanaście bram — o ile wierzyć Hasanowi — bronilo ongiś wstępu do Teb. Dziś istnieją już tylko resztki ostatniej, i ku tym to resztkom, pod bardzo już niski zachód, mamy się jeszcze wybrać przed powrotem.

Oganiając się rojom brudnych, czarnych, zębrzących dzieci, które się tu biorą nie wiadomo skąd, wszędzie, gdziekolwiek się auto zatrzyma, tak samo jak te tutejsze lepkie, brudne, uprzykrzone muchy — opędzając się chmarze czarnych, nahałnych handlarzy wyrabianej tu masowo autentycznej tandety na egipskim sosie — pakujemy się do aut... Nad Doliną Śmierci zostaje pustka, cisza i czas, w którym ważą się sennie dwa szylkretowo-bure orły... Trzech groszy nie dałby nikt za te piaski, które zostają za nami. A przecie wartość skarbów, które spały i śpią jeszcze w ich gorących osypiskach — nie zamknie się w żadnej cyfrze!

Jedziemy. Tym razem wzgórza i pustynność pozostają w tyle, a od strony Nilu krajobraz podmarka stopniowo coraz ciemniejszą dolinę. Wreszcie naruszamy się w dolinie szerokiej, żyznej, tłustej, wycielonej roślinnością, aż szkliszta od dobrobytu, sutą, bogatą... Półka zbóż dobrze już wosaty, dywany imie się jakichś lucern czy wyk, wresz-

cie trawa — taka sobie całkiem niczyja, która rośnie jak sama chce. I razem z tej zieleni, sytości, dostatku i dosytu, dźwigają się te dwa poważne, przez wycofaną stąd „dawność” zapomniane kolosy. Siedzą prosto, na zydłach gigantycznych, z łapskami na kolanach nóg, grzeźnie, jedna równiutko przy drugiej... I by mają poottłukane, twarzy już ani śladu, resztki tylko kamiennych chust stroszą im się za uszami. Ale to nie! Kolor kamienia jest tak ciepło, tak cudownie złoty i taka uchwytana, namacalna wprost odwieczność tai się w szczybach, faldach, rozpadlinach tych głazów, że dotykając ich, masz pewność, że dotczynię! Jeśli świat pomocy się jeszcze kilka, czy kilkanaście tysięcy lat, po Kolosach Memnona zostanie może garstka rozdmuchiwanego przeciagiem pyłu, a konieczna będzie napewno tak samo wilgotna, bujna i pachnąca, jak była tego wieczoru, kiedy stałam tam z zadartym w górę nosem, olśniona, urzeczona, oniemiała z zachwyty i wrazenia...

Biedne, wystrychnięte na dudka Kolosy! Stały ongiś groźnie, broniąc światu przystępu do Doliny Śmierci, a dziś — świat żywy, bujny, radosny, rodzący i rozkwitły — odciął im drogę. wgnął w siebie i zrobił z nich dwie kamienne wyspy umarłej dawności, opłynięte zewsząd niepokonaną, odnawiającą się ciągle radością życia, która przetrwa i Kolosy, i nas, i tych, co po nas przyjdą, i tamte borsucze jamki w piasku, i mumię w wiltnych, i skarby i wszystko! Nie! Naprawdę nie ma pogo upierać się przy tym, aby trwać. Żeby na nie wiem jak daleką metę obliczone było bankructwo tego uporu, żeby nie wiem ile dynastii, wieków i epok

udało się czemuś przetrwać, przeciwyczyć mijanie, rozpyływanie się, zniszczalność rzeczy stworzonych — to i tak przyjdzie kiedyś taka chwila, kiedy się to skończy... Więc po co? Ubijanie się, dobijanie, próbowanie czegoś, co nie jest możliwe, jest zawsze nie poważne, zawsze jakoś trochę śmieszne... Nie. Lepiej tak: po prostu, po cichu, jak samo idzie, bez buntowania się, bez „stawiania się” temu, co jest z góry i tak przesądzone, mocniejsze od nas i naprawdę o wiele od nas mądrzejsze...

Nil był błękitny, płowy i rozmrugany, a żagiel wzdęty powiewem, którego nikt prócz niego nie wyczuwał — kiedyśmy wracali do Luxoru. Jedwabny chałat Hasana gorzał w niskim słońcu ciępką purpurą niedojrzałego derenu... Wspaniały, brunatny profil naszego guida trwał nad dziobem łodzi nieruchomo, jak wszystkie tamte, na zawsze do kamienia przywarłe profile... A człowiek miał w ręce dwa wąsate kłosa „egipskiej pszenicy”, mrużył oczy ze zniechęcenia i blasku i był jak bąk opity wszelaką dawną i dzisiejszą cudnością świata — tego świata, w którego istnieniu czuć mu się wolno jednym z nieprzeliczonych ogniwek łańcucha, spinającego doczesne — z wiecznością.

Beata Obertyńska